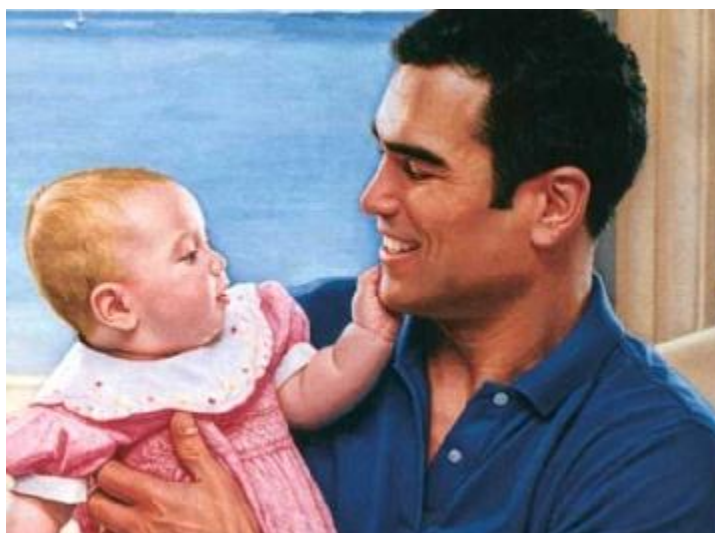




Jessica Matthews  
Dar od losu

---

Tytuł oryginału: Emergency: Parents Needed



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

- Zmienił się grafik dyżurów.

Maggie Randall, słysząc te słowa, przystanąła. One nie wróżą nic dobrego. Gdy kapitan Keller wypowiedział je przed dwoma tygodniami, przydzielając jej nowego partnera, życie Maggie uległo całkowitej zmianie.

Ale może kapitan zorientował się wreszcie, że ona i Joseph Donatelli nie pasują do siebie, pomyślała z nadzieją. Może przydzielili jej kogoś, kto jest zdolny do kompromisów.

- Dziś masz dyżur z Kevinem - usłyszała.

Kevin Running Bear, który jest strażakiem z dodatkowym przeszkoleniem medycznym, karetką jeździł tylko wtedy, gdy trzeba było kogoś zastąpić.

Maggie poczuła ulgę. Przez następną dobę będzie mogła pracować w spokoju. Nie będzie musiała zмагаć się na każdym kroku z Joem, który zarzuca jej, że za dużo czasu poświęca pacjentom i jest w stosunku do nich zbyt przyjacielska.

I nie będą jej miękły kolana na widok jego ironicznych uśmiezków. Jest rzeczą niezmiernie irytującą, że przy tym wszystkim ten facet tak ją pociąga. Ich nieustanne starcia utrudniają pracę, a ona nie godzi się przecież, by z tego powodu cierpieli pacjenci.

- Co się stało z Joem? - spytała zaskoczona, bo w ciągu czterech lat ich wspólnej pracy w straży nigdy nie opuszczał służby. Dzisiaj ma więc na pewno jakiś ważny powód.

- Wziął wolny dzień z przyczyn osobistych - wyjaśnił kapitan.

Ratownicy trzech posterunków straży pożarnej w Barton Hills świetnie się znają, a Joe jest wśród nich postacią legendarną. Na służbę

zawsze przychodzi przed czasem, bywa że godzinę wcześniej, i schodzi jako ostatni. Najchętniej bierze dyżury całodobowe, bo w domu podobno nikt na niego nie czeka. Jak powszechnie wiadomo, spotyka się z mnóstwem kobiet, ale mimo bujnego życia towarzyskiego niechętnie korzysta z urlopów.

- Coś takiego - powiedziała z niedowierzaniem.

- Ale nie otwieraj szampana, nie będzie go tylko dzisiaj.

- Szkoda.

- Wiem, że między wami nie zawsze się układa. - Kapitan spojrzał na nią badawczo. - Zwłaszcza po incydencie z tą staruszką, Hildą Myers.

Mieszkająca samotnie Hilda z powodu powtarzających się ataków lęku tak często wzywała ratowników, że Maggie zdążyła się z nią wręcz zaprzyjaźnić. Kiedy ostatnio pojechała do niej z Joem, ten uznał, że sytuacja starszej pani wymaga interwencji. Zgłosił sprawę kapitanowi i już po kilku dniach krewni Hildy umieścili ją w domu opieki. Maggie próbowała przekonać do tego staruszkę od wielu miesięcy, ale uważała, że nie należy ingerować w jej życie.

Chociaż Maggie w głębi duszy przyznawała rację Joemu, bo dzięki niemu Hilda będzie wreszcie miała opiekę, zabolalo ją, że sprawę, której ona nie umiała rozwiązać od tak dawna, jej partner załatwił w niecały tydzień.

- Problem polega na tym - ciągnął kapitan - że obydwójecie macie silne osobowości. Skoro jednak wasi partnerzy są na urlopiach zdrowotnych, nie ma rady, musicie się jakoś zgrać. Głowa do góry - poklepał ją po ramieniu - za parę miesięcy Bill i Robert wrócą do pracy.

Jej stały partner Robert MacArthur przechodził rehabilitację po skomplikowanym złamaniu nogi. Bill Reeves, z którym pracował Joe, miał poważny wypadek w czasie gry w baseballa i wracał do zdrowia

wolniej, niż lekarze by oczekiwali. Gdy Joe i Maggie zostali „osieroce- ni”, komendant postanowił, że będą razem jeździli karetką.

- Po dzisiejszym dyżurze oboje macie dwa dni wolnego - dodał ka- pitan Keller - więc proszę, zastanówcie się, jak rozwiązać konflikt, bo inaczej najbliższe miesiące będą nie do zniesienia nie tylko dla was, ale dla wszystkich. Nie życzę sobie kolejnych meldunków o waszych utarczkach.

Kapitan ma rację. Jeśli się nie dotrą, czeka ich męczarnia, a dwa dni wolnego przysługujące im po całodobowych dyżurach nie na wiele się zdadzą.

- Rozumiem - powiedziała, mając nadzieję, że Joe też wysłuchał re- prymendy.

Nie będzie to łatwe, bo różni ich filozofia działania, ale coś trzeba z tym zrobić. Zastanawiała się nad tym przez cały dyżur i wreszcie, nad ranem, gdy powoli zapadała w sen, wymyśliła sposób. Skoro Joe nie przyszedł do pracy, z pewnością jest chory, więc na pewno doceni, gdy jego partnerka okaże mu trochę współczucia.

Joe, który zobaczył znajomy samochód wbity maską w latarnię, wyskoczył z karetki. Głowa jego przyjaciółki Dee spoczywała na kie- rownicy, krew z rany na czole zalewała jej twarz.

- Dee, słyszysz mnie? Nie ruszaj się, zaraz cię stąd wydobędziemy

- To ty, Joe? - Ranna z trudem uniosła powieki. Dotknął jej ręki - była bardzo wychłodzona.

- Szybko! - zawołał do strażaków, którzy właśnie dojechali na miejsce wypadku. - Trzeba ją wydostać z auta.

- Joe, nie mam władzy w nogach... – Kobieta przymknęła oczy.

- Wszystko będzie dobrze. Zaraz się tobą zajmiemy.

- Dziecko. Zaopiekuj się dzieckiem... Spojrzał na tylne siedzenie.  
Było puste.

- Jakim dzieckiem? Czyim dzieckiem?

- Moim - szepnęła niewyraźnie.

- Gdzie ono jest?

- Zajmij się nią - zabrakło jej tchu. - Przyrzeknij, że się nią zajmiesz.

Przekonany, że jego przyjaciółka ma urojenia, powiedział  
uspokajająco:

- Dobrze. Ale gdzie ona jest?

- Słyszysz ją? Musisz się nią zająć. Ona ma tylko ciebie.

Z daleka dobiegł go płacz dziecka.

- Słyszę ją, ale gdzie ona jest? Powiedz!

Joe zerwał się z fotela na równe nogi. Potrwało chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że znowu śnił mu się wypadek, w którym zginęła jego przyjaciółka Deanna Delacourt. Jest u siebie w domu, drzemał, a córeczka Dee płacze na cały głos w sąsiednim pokoju.

Przetarł oczy. Była dziewiąta rano, spał trzy godziny. Na dyżurach często pracował bez przerwy niemal całą dobę, ale potem odsypiał w domu. Teraz, gdy zamieszkała u niego Breanna Delacourt, to się stało niemożliwe. Skończyła się jego samotność.

Jedenastomiesięczna Breanna darła się w niebogłosość. Cała we łzach, siedziała na prowizorycznym pościeli z rozłożonych na podłodze koców i śpiwora. Ją też z pewnością dręczyły koszmary, a teraz zamiast mamy przyszedł do niej ten obcy człowiek.

- Dee, czemu ja? - powiedział Joe półgłosem. - Przecież nie nadaję się na ojca.

Ale bez względu na powody, dla których jego przyjaciółka podjęła tę decyzję, teraz musi zająć się małą. Niewprawnie zmienił jej pieluszkę; w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin już się nauczył, że od tego trzeba zacząć. Ale co dalej? Czuł się bezradny. Ktoś musi mu pomóc, pokazać, co należy robić. Dlaczego Dee uznała, że będzie najlepszym opiekunem dla jej córeczki?

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek do drzwi.

- Zaraz do ciebie wrócę, dziecinko - obiecał, kładąc przy dziecku pluszowego króliczka.

Na widok stojącej na ganku Maggie Randall bardzo się zdziwił. Była w niebieskim mundurze, przyjechała prosto ze służby. Długie włosy zaplotła w warkocz, w jej piwnych oczach pojawiła się czujność. I trudno jej się dziwić, że spoglądała na niego nieufnie, skoro tak się ścierają w pracy. Ale teraz powitał ją z radością i ulgą.

- Cieszę się, że przyszłaś.

- Naprawdę? - Maggie niepewnie zerknęła na jego poplamiony zakupką podkoszulek, potargane włosy i bosa stopy. - Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi, ale niepokoiłam się o ciebie.

Zdumionemu Joemu nie przyszło do głowy, że ktoś może się o niego martwić. Zwłaszcza tak atrakcyjna i ujmująca kobieta jak Maggie, której urokowi z trudem próbował się oprzeć tylko dlatego, że trzeba się wystrzegać romansów w pracy.

- Czy wszystko u ciebie w porządku?

- Prawdę mówiąc, nie bardzo.

- Rzeczywiście, nie wyglądasz najlepiej. Panuje nieprzyjemna infekcja żołądkowa. Jak mówi moja mama, nie ma na nią lepszego lekarstwa niż gorący bulion z makaronem. Proszę. - Podała mu plastikowy pojemnik z jeszcze ciepłą zupą. - To dla ciebie.

- Bardzo dziękuję, ale jak ci się udało ugotować zupę? Przecież nie miałaś czasu na zakupy.

- Nie musiałam niczego kupować. W lodówce na posterunku znalazłam wszystko co trzeba. Nie bój się, nie dosypałam arszeniku.

- Wcale się nie boję, bo gdyby coś mi się stało, podejrzenie i tak padnie na ciebie.

- No właśnie - odparła z uśmiechem. - Zjedz to i wracaj do łóżka. Masz lekarstwa i wodę? Jeśli nie, z chęcią ci je kupię.

- Nie jestem chory. Mam kłopot osobisty.

- Ach, to przepraszam, że ci zawracam głowę - odparła sztywno.

- Przeciwnie, spadłaś mi jak z nieba. - W jego głowie zakiełkował pewien pomysł.

Zanim Maggie zdążyła pomyśleć, złapał ją za rękę i wprowadził do przedpokoju.

Nie wiedziała, czy dreszcz, który ją przeszedł, został wywołany przez jego dotyk, czy też fakt, że najbardziej niezależny człowiek świata prosi ją o pomoc. Ale natychmiast upomniała się w duchu: dobre serce to moja słaba strona. Nie podniosła się jeszcze do końca po historii z Arthurem, i więcej nie pozwoli się wykorzystać.

- O co chodzi? - zapytała.

Z pokoju obok dobiegał coraz głośniejszy płacz niemowlęcia.

- Naprawdę nie mam do kogo się zwrócić o pomoc.

Spojrzała mu badawczo w oczy, próbując nie zwracać uwagi na jego umięśnioną klatkę piersiową i świetnie prezentujące się w szortach długie nogi sprintera.

- Przestań żartować - rzuciła. - Czy ty się czegoś nawąchałeś?

- Przysięgam, potrzebuję pomocy. Już.

W tym momencie wypełzła do nich ciemnoblonde dziewczynka o kręconych włoskach. Ubrana w różowe śpioszki, trzymała kurczowo pluszowego króliczka.

- Opiekujesz się nią? - spytała Maggie.

- Tak, ale... - powiedział żałośnie. - To moje - zająknął się - to moje dziecko...

Joe jest ojcem? Coś tu nie gra. Ani słowem nie wspomniał, że ma dziecko. Ale, jak wiadomo, wokół niego kręcą się tłumy kobiet. Chociaż się nie chwalił, kto wie, może ma żonę? Albo może miał? A więc na tym polega ta „sprawa osobista”? Tak czy inaczej, Maggie przywołała się do porządku. Nie da się nabrać na samotne ojcostwo.

- Zawsze mówiłeś, że nie masz rodziny.



- Bo nie mam. Breanna... to długa historia.

- Nie wątpię - mruknęła pod nosem. Nie, tym razem nie pozwolę się wykorzystać, powtórzyła sobie w duchu. - Zostawiam was, musicie się jakoś dotrzeć.

Joe zdążył zamknąć przed nią drzwi wyjściowe.

- Błagam cię, nie zostawiaj mnie.

- Nie wygłupiaj się. Wpadłam tylko, żeby ci dać zupę. Ale jak widzę, niepotrzebnie.

- Błagam cię, zrób coś, żeby ona przestała płakać. Gdy zapłakana Breanna na czworakach podeszła do niej i łapiąc się jej nogawki, wstała, Maggie po- czuła, że nie potrafi odejść.

- Hej, maleńka, co się dzieje? - Kucnęła, a dziewczynka, pochlipując, wyciągnęła do niej rączki.

Maggie przytuliła niemowlę, po czym posadziła je sobie na biodrze.

- No, powiedz, co się stało? - Uspokojona Breanna położyła jej głowę na ramieniu. - Widzisz, ona po prostu chce, żeby ją łagodnie przytulić.

- Zostań jeszcze chwilę - poprosił Joe. Nie miała serca mu odmówić.

- Zgoda, ale najwyżej parę minut.

- Cudownie. Usiądź sobie wygodnie, a ja ją tym-czasem nakarmię.

Maggie z małą na ręku poszła za nim do kuchni. W zlewie stała góra brudnych naczyń, na stole leżały pudła po pizzy, opakowania po jogurtach, jednorazowe sztuczki i talerze. O ile go znam, pomyślała, jest pedantem, a tu taki bałagan. Zresztą i tak musiała usiąść, bo dziewczynka wtuliła się w nią kurczowo.

- Szczerze mówiąc, myślałam, że po prostu nie jesteś w stanie wyjść z toalety. Nie wiedziałam, że zajmujesz się dzieckiem.

- Ona przez dwa dni dała mi taki wycisk, że wolałbym kłopoty z żołądkiem. - Niewprawnie zaczął szykować butelkę mleka. - Skąd w takim maleństwie bierze się tyle energii?

Wyczerpany i bezradny wydał się Maggie jeszcze bardziej atrakcyjny niż zwykle. Tutaj rozpaczliwie potrzeba kobiecej ręki. To straszne, że nie przyznawał się do własnego dziecka, ale z drugiej strony, może miał jakiś powód? Może matka Breanny mieszka gdzieś daleko? Może do tej pory nie widział się z małą?

- Chyba nie masz w tym wprawy? - Patrzyła, jak Joe próbuje nasadzić smoczek na butelkę. - Bądź spokojny, szybko się nauczysz.

- Ale ona nie przestaje płakać.

- Z tym też sobie poradzisz. Nie widziałeś, jak z nią postępuje jej mama?

- Nie.

- To może do niej zadzwoń i zapytaj.

- Nie mogę.

Joe Donatelli nie przyzna się za nic do porażki. Może dlatego, że jest z pochodzenia Włochem. Ale w gruncie rzeczy wszyscy faceci są tacy sami.

- Koniecznie do niej zadzwoń. Musisz jej powiedzieć, że ci nie idzie.

- Jej matka nie żyje. Jesteśmy sami.

- O mój Boże! - powiedziała cicho.

Joe bez słowa wymieszał w miseczce płatki kukurydziane z przecierem brzoskwinowym.

- Tydzień temu zginęła w wypadku. Wjechała na latarnię.

- Przypominam sobie, czytałam o tym w gazecie. To była mama Breanny?

- Tak. To była Dee.

- O ile pamiętam, na miejsce przyjechali chłopcy z naszego posterunku.

- Tak, próbowaliśmy ją odratować.

Nagle wszystko stało się jasne. Na dyżurze w piątek Joe prawie się nie odzywał. Myślała, że to z powodu przemęczenia pracą.

- Tak mi przykro. To musiało być dla ciebie straszne. Czy chłopcy z posterunku wiedzą, kim ona była dla ciebie?

- Powiedziałem im, że Dee była moją przyjaciółką.

- I matką twojej córki. - Dlaczego Joe nic nie mówił o małej? Nikomu nie ufał? A może z jej matką niewiele go łączyło?

- Wiem, o czym myślisz, ale jesteś w błędzie. Nie zostawiłem jej w ciąży. - Spojrzał na Maggie z bólem. - Kiedy widziałem się z Dee po raz ostatni, nie miała chłopaka i nie spodziewała się dziecka, a przynajmniej nic po niej nie było widać. Kiedy ją ratowaliśmy, cały czas mówiła o córce, ale myślałem, że ma urojenia.

Joe jest ojcem Breanny, ale gdy spotykał się z Dee, ona nie była w ciąży.

- O istnieniu dziecka dowiedziałem się przedwczoraj. Skontaktowałem się ze mną adwokat Dee, która w testamencie, w razie gdyby coś się z nią stało, powierzyła mi opiekę nad małą.

Czyli Joe nie jest marnotrawnym tatusiem, który ukrywał, że ma dziecko.

- Domyślam się, że Breanna nie ma ojca?

- Z jej aktu urodzenia wynika, że właśnie masz go przed sobą - odparł Joe po chwili.

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

---

Jestem ojcem, Joe powtórzył sobie w duchu ten absurd. Ale, pomyślał po raz setny, dlaczego los spletał mu takiego figła? Dee, co ci u diabła przyszło do głowy?

Ale tak czy owak na razie nie ma wyboru, musi się zająć Breanną. Co za szczęście, że w tej chwili nie jest sam.

- Jesteś jej ojcem? Prawdziwym, biologicznym?
- Tak wynika z papierów.
- Więc nie masz pewności?
- Nie, Mój fizyczny związek z Dee trwał bardzo krótko. Szybko uznaliśmy, że będzie lepiej, gdy wrócimy na stopę przyjacielską.
- Ile ma Breanna?
- Jedenaście miesięcy.
- A kiedy poznałeś Dee?
- Niecałe dwa lata temu. Wiem, że mnie podejrzewasz, ale uwierz, byliśmy tylko przyjaciółmi.
- Joe, nie mam zamiaru cię osądzać. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Ale nie można wykluczyć, że jesteś ojcem.

Potrząsnął głową.

- Uwierz mi, przespaliśmy się ze sobą tylko raz, na samym początku naszej znajomości.

- Wiesz świetnie, że to wystarczy, żeby zrobić dziecko.

- Uważaliśmy - rzekł z naciskiem, nie wierząc, by mogły zawieść zabezpieczenia.

- Czyli chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś ojcem, a Dee próbowała cię zrobić.

- Nie wiem. - Nie przypuszczał, by Dee widywała się z kimś regularnie. Breanna jest być może owocem przygodnego spotkania, a Dee wstydziła się do tego przyznać. - Nigdy mi nie mówiła, że ma kogoś, co nie znaczy, że nie miała.

Ale czemu miałyby właśnie jego obarczać odpowiedzialnością za dziecko, skoro wiedziała, że on nie chce zakładać rodziny? Z drugiej strony, choć rozmawiali o wszystkim otwarcie, ukryła przed nim ciążę.

- Muszę z przykrością powiedzieć, że jesteś podejrzany - zauważyła Maggie.

Trudno temu zaprzeczyć, ale to nie jest możliwe. Zawsze i bez wyjątku stosował zabezpieczenia, nie zdając się jedynie na kobietę. W pełni kontrolował swoje życie seksualne.

- Za pośrednictwem adwokata Dee wystąpiłem o przeprowadzenie testu na ustalenie ojcostwa.

- Na wyniki badań DNA czeka się około miesiąca. Co zamierzasz robić do tego czasu?

Adwokat mówił, że to potrwa trzy, cztery tygodnie. Dla Joego to jak wieczność. Zanim pozna prawdę, musi opiekować się córeczką Dee.

- I co będzie, jeśli się dowiesz, że nie jesteś jej ojcem? - Maggie drażyła temat.

- Breanna powinna trafić do kogoś, kto pragnie dziecka i kto będzie umiał je wychować.

- A dlaczego ty masz nie umieć?

- Uważam, że się do tego nie nadaję.

- Więc po co czekać? Dlaczego od razu nie zrzekniesz się odpowiedzialności prawnej?

Ona ma rację. Ale są dwa powody, dla których na razie się wstrzyma. Jeśli to jego córka, nie zostawi jej, idąc w ślady własnego ojca. Wciąż jednak pozostaje pytanie, co zrobi, jeżeli okaże się, że nie jest ojcem.

- Przyrzekłem Dee, że zaopiekuję się dzieckiem - powiedział z naciskiem.

- Rozumiem, ale czasem nie jesteśmy w stanie wywiązać się z obietnicy.

- Zawsze dotrzymuję słowa - odparł stanowczo. Życie nauczyło go, że tak trzeba, niezależnie od okoliczności.

Z drugiej strony, Dee była wtedy w szoku, a on przysiągłby jej wszystko, by ją uspokoić. Zresztą nie wiedział przecież o istnieniu Breanny.

- Jesteś przyzwoitym człowiekiem, choć myślisz, że się nie nadajesz na ojca. - Maggie uśmiechnęła się ciepło.

- Mieszkam sam i nie mam pojęcia o opiece nad dzieckiem. Zwłaszcza nad dziewczynką.

- To nie takie trudne, a poza tym dużo ludzi samotnie wychowuje dzieci.

- Nie rozumiesz. Mój ojciec... - Zamilkł.

O swoim dzieciństwie opowiedział tylko Dee. Zwierzył się jej, bo była pokrewną duszą, przeszła przez to samo. Własne przeżycia dawno zepchnął w podświadomość. Nie chciał o nich pamiętać. Ma

trzydziestkę, żyje swobodnie, nie chce zobowiązań. Ale teraz, by Maggie mogła go zrozumieć, musi jej o tym powiedzieć.

- Moja matka zmarła, kiedy byłem w wieku Breanny, ojciec zostawił mnie, gdy miałem pięć lat. Wychowałem się w rodzinach zastępczych. Kiedy skończyłem dziesięć lat, postanowiłem, że nie będę miał dzieci.

- Przykro mi słyszeć o twoim nieszczęśliwym dzieciństwie, Ale wbrew temu, co myślisz, miałam okazję przekonać się w pracy, że masz dobry kontakt z dziećmi.

- Może umiem sobie radzić w sytuacjach kryzysowych z nastolatkami, ale chowanie niemowlęcia to co innego. O codziennych potrzebach dziecka, jedzeniu, lekarzach, ubrankach nie mam zielonego pojęcia.

- Tego się można nauczyć. Przecież na początku nawet rodzice tego nie umieją.

Okej, może opanowałyby karmienie i przewijanie, ale nie zaspokoi potrzeb emocjonalnych dziecka. Nie mógłby dać Breannie miłości i wsparcia, skoro sam był ich pozbawiony.

- Nie chciałbym zniszczyć jej życia.

- Z góry się poddajesz? - spytała z dezaprobatą.

Jeśli Maggie nie potrafi go zrozumieć, to co dopiero powiedzieliby koledzy i przełożeni w pracy? Oni wszyscy są ojcami rodzin. Co by powiedzieli na wieść, że nie dochował obietnicy, którą dał umierającej kobiecie?

- Breannie na pewno będzie lepiej, gdy wezmą ją ludzie, którzy pragną dziecka. Para ludzi.

- Ale Dee chciała, żebyś to ty zajął się jej dzieckiem.



Niech to diabli! Dlaczego Dee to zrobiła? A jeśli Breanna jest jego córką, czemu nie wiedział o jej istnieniu? Tak czy siak, dla czystego sumienia na razie musi zajmować się małą, więc potrzebuje błyskawicznego kursu opieki nad niemowłkiem.

- Posłuchaj, kiedy chłopaki dowiedzą się o malutkiej, zrobią wszystko, żeby cię wesprzeć. – Maggie jakby czytała w jego myślach. - Poproszą o pomoc żony. Jak wszyscy samotni ojcowie będziesz jej doglądał, o ile to możliwe, zabierał ze sobą, bawił się z nią i modlił, żeby móc się czasem wyspać.

- Aleja potrzebuję kogoś, do kogo w każdej chwili mógłbym się zwrócić o radę. Kogoś takiego jak ty.

- Jak ja? Niby dlaczego?

- Bo nikt się do tego nie nadaje lepiej. Poza tym nie żyjesz w związku, więc nie miałbym wyrzutów sumienia, że ci przeszkadzam. Twoi bracia mają dzieci, więc napatrzyłaś się, jak sobie z nimi radzą. Sama widzisz, że Breanna wreszcie przestała płakać. Dokonałaś cudu.

- Nie - powiedziała Maggie. - To nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego? Przecie kochasz dzieci.

- Mam powody. - Nie będzie mu wyjaśniać, bo to zbyt bolesne. - Wierz mi, że to są poważne powody.

- A moje problemy nie są poważne?

- Zgoda, ale ty...

Joe nie pozwolił jej skończyć.

- Doszło do mnie, że miałaś wyjść za człowieka z dwójką dzieci.

- No właśnie, miałam. Więc sam rozumiesz, że to było zupełnie co innego.

- Chodzi o to, że nie sypiamy ze sobą? Jeśli tylko w tym problem, to...

Przeszedł ją dreszczyk.

- Nie bądź bezczelny. - Nie była pewna, czy bardziej zirytowało ją, że Joe budzi w niej pożądanie, czyjego kretyńska uwaga. - Zrozum, ja go kochałam i kochałam jego chłopców.

- Breanna potrzebuje cię nie mniej niż oni. Tamci przynajmniej mieli ojca, ona nie ma nikogo oprócz mnie, a ja sobie nie radzę. Musisz mi pomóc.

Maggie nie widziała Zacha i Tylera od ponad roku. Arthur, ich ojciec, postanowił wtedy nieoczekiwanie dla niej wrócić do rodzinnej Montany. Chciał odnowić związek z dawną dziewczyną. Maggie przeżyła szok, a potem z rozpaczą uświadomiła sobie, że Arthur nie odwzajemniał jej miłości. Pomogła mu przetrwać z dziećmi po utracie żony, a on ją wykorzystał. Gdy nauczył się radzić sobie z chłopcami, wyjechał.

A teraz Joe oczekuje od niej tego samego. Po tamtym rozstaniu przysięgła sobie, że nie zwiąże się z mężczyzną, który ma dzieci. I pod żadnym pozorem nie zmieni zdania.

- Pewnie słyszałeś, że tamta historia nie skończyła się dobrze?

- Chyba raczej dla tego faceta.

Nieprawda. To ona poświęciła jemu i jego synkom serce i duszę.

- Postanowiłam więcej się nie angażować - oznajmiła.

- I ty to mówisz! Przypomnij sobie Hildę Myers.

- To, co teraz wydaje ci się zaangażowaniem, wtedy nazwałeś słabością charakteru. Wiem, czym by groziła pomoc przy Breannie.

Przywiązałabym się do niej, a któregoś pięknego dnia wszystko by się skończyło.

Mam dwadzieścia osiem lat, pomyślała, i po raz drugi zostałabym z niczym.

- Mogę powiedzieć to samo. Też mogę zostać na lodzie, bo kto wykluczy, że poznasz jakiegoś faceta i bardzo szybko będziecie mieli kupę małych.

Maggie, słysząc o „kupie małych”, roześmiała się. Joe przecież nie zdaje sobie sprawy, że dyżury z nim są dla niej równie niebezpieczne jak czasowe matkowanie Breannie. Jeśli umie panować nad swym pożądaniem w pracy, może uda się jej to także w czasie wolnym?

- Rzecz w tym, że nie mogę myśleć o wzięciu Breanny, jeśli nie znajdę kogoś, kto będzie mnie wspierał.

- Nie zrzucaj tej decyzji na mnie.

- Kiedy mieliśmy do czynienia ze sprawą Hildy, zarzuciłaś mi, że nie umiemy ze sobą współpracować. Teraz mamy szansę to naprawić.

- Chodziło mi o pracę zespołową na dyżurach, a nie w życiu prywatnym.

- Jednego i drugiego nie można oddzielić do końca. Czy możesz mi uczciwie powiedzieć, że jeśli oddam Breannę, nie zmieni się twój stosunek do mnie?

Zagryzła wargi, bo Joe niewątpliwie miał rację.

- A te wszystkie kobiety, z którymi się spotykasz? Któraś z nich na pewno...

- Ufam tylko tobie. Mówisz, żebym przezwyciężył lęk, choć sama nie jesteś do tego gotowa. Mam się podjąć zadania, które potrwa

dwadzieścia lat, a ty nie chcesz zainwestować kilku miesięcy. Czy to nie są podwójne standardy?

- Jeśli ci nie pomogę, oddałbyś Breannę?

- Z krwawiącym sercem, ale byłbym zmuszony, bo wiem, że sam nie podołam opiece nad dzieckiem.

Dziewczynka wtuliła się w Maggie, jakby chciała ją do czegoś przekonać.

- Szantażujesz mnie.

- Zrozum, jestem w rozpacz. A może zgodziłabyś się chociaż wspierać mnie do czasu, aż będą wyniki testu na ojcostwo? - Spojrzał na nią błagalnie. – Wtedy byśmy wszystko przedyskutowali od nowa.

- Czyli każde z nas będzie mogło się wycofać?

- Wtedy wszystko przemyślimy jeszcze raz. Przecież oboje chcemy dla Breanny jak najlepiej.

Zmarszczywszy brwi, myślała o Zachu i Tylerze, o tym jak robiła im kolacje, kładła ich spać, szykowała śniadania, o bukietach mlecznych, który zebrali dla niej. Wciąż jeszcze za nimi tęskniła.

Joe patrzył na nią z nadzieją. Jest jej partnerem i potrzebuje pomocy. Przyrzekła szefowi, że zrobi wszystko, by złagodzić tarcia między nimi. Jeśli się rozejdzie, że mu nie pomogła, spotkają ją niemiłe konsekwencje.

Nie mam wyboru, pomyślała z rezygnacją, ale mimo słabości do dzieci spróbuję nie angażować się emocjonalnie. Nie wolno mi zapomnieć, że jest to tylko rozwiązanie czasowe.

- Dobrze - rzekła niechętnie. - Pomogę ci, dopóki nie dostaniesz wyniku. Potem radź sobie beze mnie.

- Bardzo się cieszę.

Lecz po południu, gdy urządzali pokój dla małej mebelkami, które przywieźli z mieszkania Dee, zastanawiała się, czy nie podpisała paktu z diabłem.

Jej obecność dokonała cudu. Breanna przestała płakać i nawet kilka razy się zaśmiała, gdy Maggie bawiła się z nią w „a kuku”. Joe mógł spokojnie wziąć prysznic, a gdy wyszedł z łazienki, naczynia były pozmywane i w domu panował porządek. Nie ucałował Maggie z wdzięczności dlatego tylko, że bał się, że się na niego obrazi.

- Jak to zrobiłaś, mając na głowie Breannę?

- Była bardzo grzeczna. Przypuszczam, że ona po prostu wyczuwała twój lęk i reagowała płaczem. - Dziewczynka gaworzyła pogodnie, siedząc na pod-łodze i bębniąc drewnianą łyżką w plastikową miseczkę. - Przejrzałam jej rzeczy i zrobiłam listę zakupów. Pampersów i mleka dla niemowląt nie starczy nawet do jutra. - Podała mu kartkę.

Jaki seksowny charakter pisma! To nieprawda, że kręcą się wokół niego tabuny kobiet, ostatnio była ich zaledwie garstka, ale żadna z nich nie umywa się do Maggie.

- Na mnie już pora - powiedziała.

Na myśl, że zostawia go samego, ogarnęła go panika.

- Zostań, proszę. - Złapał ją za rękę. - Trzeba zrobić zakupy i przywieźć meble Breanny. Bardzo byś się przydała. - Zrobił błagalną minę.

- Jestem prosto z pracy, nawet nie zajrzałam do domu. Muszę się przebrać.

Do twarzy jej w niebieskim mundurze, ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przebrała się w coś, co lepiej odsłoniłoby jej figurę: dzinsy, spódnice, dopasowaną koszulkę.

- Jeśli nie masz jakichś planów, może najpierw skoczylibyśmy z małą do ciebie, a potem ruszyli w miasto?

- Zgoda. W takim razie zapraszam.

- Maggie, ogromnie ci dziękuję. - Oburącz uścisnął jej dłoń.

Zmieszała się, a on miał ochotę wziąć ją w ramiona i uściskać.

W jej przytulnym mieszkaniu, gdzie znaleźli się dziesięć minut później, wisiały oprawione szkice ołówkiem i akwarele, pełno było miękkich poduszek, na podłodze leżały puszyste dywany. Wygodne miejsce, gdzie można się odprężyć, pomyślał Joe.

Maggie po chwili wyszła przebrana z sypialni. Zmieniła się nie do poznania: sprane obcisłe dżinsy podkreślały jej biodra i długie nogi, pod żółtozieloną bluzką z dekoltem w szpic rysowały się drobne piersi, sandały odsłaniały wąskie stopy i pomalowane na czerwono paznokcie.

Patrzył na nią z zapartym tchem. Co za szkoda, że wszystko to kryje się na co dzień pod luźną jasnoniebieską koszulą i wygodnymi spodniami od munduru!

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

W milczeniu zaparkowali przed domem Dee. Joe, z natury niezbyt rozmowny, pozornie zachowywał zwykły sobie stoicki spokój. Ale gdy Maggie przyjrzała się mu dyskretnie, zrozumiała, że jest poruszony. By tego nie okazać, mocno zaciskał usta, ale w jego oczach malował się ból.

Anna Lightner, sąsiadka Dee, która opiekowała się często Breanną, na szczęście była w domu, więc mogli jej zostawić małą.

W mieszkaniu Dee panowała absolutna cisza. Niemal żalobna, pomyślała Maggie. Wciąż czuło się tu obecność zmarłej, zwłaszcza w jej sypialni, gdzie na łóżku leżała koszula nocna z zielonego jedwabiu. Joe odniósł najwyraźniej to samo wrażenie, bo skrepowany przystanął w drzwiach. Na widok tego pokoju ponownie uzmysłowił sobie odpowiedzialność, jaka spadła mu na barki.

Czując się trochę intruzem, Maggie wyszła do przedpokoju, ale Joe podążył za nią, jakby się bał zostać sam na sam ze swymi wspomnieniami.

-Od czego zaczniemy? - Postanowiła nie dawać mu czasu na rozmyślania.

-Chodźmy do pokoju Breanny. Najpierw rozmontuję jej łóżeczko. Wezmę z samochodu skrzynkę z narzędziami, a ty zacznij pakować ubranka.

Po godzinie zapakowali do bagażnika łóżeczko, wysokie krzeselko, wózek spacerowy i ubranka.

- Rzeczy Dee spakuje się kiedy indziej - zdecydował Joe. - Mieszkanie jest opłacone jeszcze przez miesiąc, więc mamy czas, żeby postanowić, co z nimi robić.

- Szybko wam poszło. - Anna przywitała ich w progu.

- Wzięliśmy tylko rzeczy Breanny, resztą zajmiemy się później. Nie miałaś kłopotu z małą?

- Ależ skąd, to takie słodkie maleństwo.

Joe zacisnął usta: słowa Anny potwierdzały fakt, że sobie nie radzi z dzieckiem. Maggie będzie musiała mu pomóc, by uwierzył w siebie.

- Dobrze, że mnie zastaliście i mogłam się wam na coś przydać. Będzie mi bardzo brakowało ich obu.

- Dziękujemy za pomoc, ale na nas już czas - powiedziała Maggie.

Weszli do środka. Breanna, która siedziała z grzechotką na podłodze, na widok Maggie powiedziała niepewnie:

- Mama?

Maggie chciała się zapaść pod ziemię, ale opanowała się szybko i odparła z uśmiechem:

- Kochanie, popatrz, jest tatuś. Dziewczynka spojrzała na Annę.

- Mama?

- Nie, kochanie, mamy nie ma, ale jest tatuś. Maggie kątem oka dostrzegła, jak Joe zmartwiał z przerażenia.

- Idziemy, Breanno - powiedział sztywno. Dziewczynka w napięciu wpatrywała się w niego.

- Mama?

- Ona czeka na Dee. Chce wrócić do domu - wyjaśniła Anna.



Joe będzie przede wszystkim musiał zapewnić małej poczucie bezpieczeństwa, pomyślała Maggie ze ściśniętym sercem.

- Jeśli pozwolisz, dajmy Breannie jeszcze parę minut - zwróciła się do Anny.

- Oczywiście. Korzystając z okazji, opowiem wam o jej przyzwyczajeniach.

Gdy Anna mówiła im o małej, Joe wydawał się zbyt przytłoczony, by cokolwiek zapamiętać. Pół godziny później dziewczynka wdrapała się na kanapę i usiadła przy Maggie.

- W gruncie rzeczy malutka stykała się tylko z kobietami. - Anna spojrzała na Joego.

- Dee z nikim się nie spotykała? - A więc pewnie to jednak on jest ojcem, pomyślała Maggie.

- Kilka miesięcy temu ze dwa razy widziałam jakiegoś mężczyznę, ale Dee mi go nie przedstawiła i nigdy o nim nie wspominała.

- Jak wyglądał? - Joe zmarszczył czoło.

- Podobny do ciebie, ale niższy i trochę starszy. Bardzo elegancki. Ty, oczywiście, też jesteś dobrze ubrany - dodała zmieszana - ale on chodził w garniturze.

- Myślisz, że to ojciec Breanny?

- Nie sądzę. - Anna potrząsnęła głową. - Za to o tobie Dee mówiła, że nikt ci nie może dorównać - dodała bez ogródek.

Co też Dee miała na myśli, mówiąc, że nikt mu nie może dorównać, pomyślała Maggie. Najwyraźniej Joe Donatelli ma jakieś nieznane jej oblicze. Nie jest szczególnie otwarty, ale wśród kolegów uchodzi za sympatycznego, przyzwoitego i solidnego, więc nie ma powodu im nie wierzyć. Przez chwilę poczuła wręcz zazdrość, bo Dee poznała go chyba

lepiej. Pozostali przecież przyjaciółmi, choć ich związek nie przetrwał. Uświadomiła też sobie, że ona także chce poznać tego Joego, który był bliski Dee.

Wieczorem Joe usiadł w bujanym fotelu, by nakarmić Breannę przed snem. Dziewczynka była już po kąpieli i z apetytem ssała mleko z butelki. Miejmy nadzieję, pomyślał, że nadchodząca noc będzie wreszcie spokojna.

Dzisiejszy dzień może nie był wyczerpujący fizycznie, ale nie sposób narzekać na brak emocji.

- Zmęczony? - Maggie siedziała na kanapie z filiżanką kawy.
- Jestem wykończony - przyznał cicho, by nie rozpraszać małej. - Mam wrażenie, że postarzałem się o trzydzieści lat.
- Przywykniesz. Jeśli moi bracia umieli się przyzwyczać, tobie też się uda.
- Mam nadzieję, ale muszę przyznać, że dwie doby na dyżurze to nic w porównaniu z opieką nad małą.
- Zobaczysz, niedługo wszystko się ułoży. Ale to wam nie przyjdzie z dnia na dzień.

Do tej pory nie zastanawiał się nad tym, co czuje Breanna. Sam chował się w rodzinach zastępczych i wie, jak to jest, gdy nagle zabierają cię z domu i przenoszą w obce miejsce. Te częste zmiany nauczyły go, że do niczego nie należy się przywiązywać, bo wszystko jest przejściowe.

- Ona jest na szczęście malutka, więc łatwiej się przystosuje. - Maggie znów odgadła jego myśli.
- Dajesz mi promyk nadziei - rzekł z przekąsem.

- Właśnie po to tu jestem.

- Bez ciebie pewnie wciąż bym z nią walczył, żeby ją zabrać od Anny.

Breanna nie chciała od niej wyjść. I trudno się jej dziwić, skoro Anna to jedyna znana jej Osoba. Ale Maggie stanowczo zabrała się do dzieła. Nie zważając na protesty malutkiej, zaniósła ją do samochodu, a potem, gdy on próbował wnieść dziewczynkę do domu, a ona darła się wniebogłosy, wystarczyło, że raz wypowiedziała jej imię, i mała natychmiast się uspokoiła.

- Na pewno dałbyś sobie radę.

- Nie sądzę. Poza tym dzięki temu, że ją zabawiałeś, mogłem wyładować samochód i zmontować łóżeczko.

Wciąż miał przed oczami sielankową scenę, w której Tatuś z czarodziejskim śrubokrętem w ręku składa mebelki, podczas gdy dzidzia grzecznie się bawi z Mamusią.

- Uwierz mi, że ona bawiła się sama. – Maggie ziewnęła.

- Zmęczona?

- Trochę.

- Miałaś ciężki dyżur?

- Niezbyt, ostatnie wezwanie dostaliśmy o północy.

- Ale zerwałaś się wcześniej, żeby ugotować mi zupę.

- Nie musiałabym, gdybyś o swoim problemie powiedział kapitanowi.

- Ale wtedy nie zajrzałybyś do mnie.

- Chyba nie - uśmiechnęła się. - Breanna usnęła, więc spróbuj ją przenieść do łóżeczka.

Niestety próba się nie powiodła. Kiedy położył ją na materacyku, malutka natychmiast się obudziła i zaczęła płakać. Joe patrzył z rozpaczą na Maggie, a ona nie wiedziała, kto jest biedniejszy: bezbronne dziecko, dla którego los okazał się tak okrutny, czy Joe, tak bezradny i przerażony. W oczach stanęły jej łzy, ale natychmiast przywołała się do porządku. Musi być silna nie tylko dla dobra Breanny, lecz także ze względu na niego. Nie może mu pozwolić, by do końca stracił wiarę w siebie.

- Podaj mi ją - poprosiła.

Żeby uspokoić małą, głaskała ją i śpiewała jej piosenki, powtarzając sobie w duchu: nie wolno mi się angażować, muszę zachować dystans.

Po kwadransie, gdy malutka wreszcie usnęła, położyła ją do łóżeczka.

- Naprawdę nie dam sobie z nią rady. - Roztrzęsiony Joe czekał na nią w sąsiednim pokoju.

- Musisz się zdobyć na cierpliwość. Brakuje jej mamy, więc trzeba, żeby zrozumiała, że to ty zapewniasz jej poczucie bezpieczeństwa.

- Popatrz, gdyby nie ty...

- Wszystko się dobrze skończyło. Po prostu nie masz doświadczenia. Ja się czegoś nauczyłam przy dzieciach moich braci, ale dla nich jestem tylko ciotką, więc czuję się zwolniona od odpowiedzialności.

- Wspomniałaś o chłopcach twojego byłego partnera.

- To prawda, przez pewien czas byłam dla nich matką zastępczą. Ale to było co innego, bo oni mieli przy sobie ojca, a mimo to przychodziły chwile, gdy chcieli tylko do swojej mamy. Tęsknili za nią i nie umieli zrozumieć, że nie wraca. Ona zmarła na raka. Przygotuj się na to, że będziesz miał z Breanną trudne dni, ale zapewniam cię, że będą także dni dobre. A teraz najlepiej spróbuj zasnąć. Gdyby się obudziła, będziesz ją musiał utulić. Na mnie już czas.

- Sam jej nie uspię.

- Zmień jej pieluszkę i podgrzej mleko. W lodówce są zapasowe butelki.

- Nie umiem jej pocieszyć, bez ciebie będzie cierpiała.

Ten zrozumiały strach świadczył o tym, że Joe martwi się o małą. W jego oczach nie było irytacji czy złości, jedynie lęk.

- Maggie, błagam cię, nie odchodź. Zostań na noc. Chciała odmówić, bo dla własnego dobra musi zachować dystans.

- Masz do dyspozycji sypialnię, ja się położę na kanapie.

- To nie jest dobry pomysł.

- W takim razie, gdy się obudzi, zadzwonię do ciebie bez względu na porę. Jeśli nie przyjdiesz, my pojedziemy do ciebie.

Za wszelką cenę chciała stąd uciec, bo wiedziała, że za parę tygodni trudno jej będzie rozstać się z Breanną. Osieroczone dziecko zawładnie sercem bezdzietnej kobiety, a ona straciła już dwóch chłopców, których pokochała jak własnych synów.

- Proszę cię, tylko na tę noc.

Zdawała sobie sprawę, że w domu i tak się nie wyśpi, bo będzie się o nich martwić.

- Dobrze - zgodziła się z rezygnacją. - Ale skoczę do domu po rzeczy.

- Wszystko w tym domu jest twoje - rzekł uszczęśliwiony. - Jeśli chcesz, możesz nawet ogolić się moją maszynką.

- Bardzo to szlachetne z twojej strony. Nie boisz się, że ją stępie? Zostanę, ale pod warunkiem, że po śniadaniu wracam do siebie.

- Maggie, jesteś wspaniała! - Uściskał ją. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Nigdy nie pozwalała sobie na fantazję, że on może ją wziąć w ramiona. W pracy to byłoby niedopuszczalne. Lecz teraz, gdy poczuła jego zapach i mocne mięśnie, gdy usłyszała bicie jego serca, uświadomiła sobie nagle, że nie tylko Breanna może jej złamać serce.

Nazajutrz rano Joe przystanął w drzwiach kuchni, by spojrzeć na dwie dziewczyny, które, nieoczekiwanie znalazły się w jego życiu. Jedna z nich miała na sobie puszyste różowe śpioszki, druga ubranie, które dał jej wczoraj wieczorem. Już nigdy nie włożył tego dresu, nie myśląc o kształtach, jakie teraz okrywa. Na Boga, całe szczęście, że ona nie jest w szortach albo w kostiumie plażowym!

Zobaczył z wdzięcznością, że Maggie zaparzyła już dzbanek kawy i karmi Breannę, która próbuje jeść samodzielnie. Zanim Maggie podała jej łyżeczkę czegoś pomarańczowego, chyba przecieru morelowego, malutka wzięła do buzi garstkę płatków kukurydzianych, głośno je schrupała, po czym sięgnęła po kubeczek z mlekiem.

- Witam panie. Jak się spało? - Nalał sobie filiżankę kawy.

- Świetnie. Masz bardzo wygodne łóżko.

- Też tak uważam. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nikt ci o tym nie mówił?

Joe doskonale wiedział, co się o nim mówi. Koledzy bezlitośnie kpili z jego romansów, a on nie wyprowadzał ich z błędu. Nie mówił im więc, że wcale nie prowadzi bogatego życia miłosnego i spotyka się tylko z kobietami, które nie chcą się wiązać. Niech sobie myślą chłopaki, że cieszy się stanem kawalerskim. To prawda, nie przestrzegał celibatu, ale przyjaciółek nigdy nie zapraszał do siebie, zawsze spotykał się u nich, by wyjść, kiedy tylko zechce. Jego dom był dla niego dotąd niezdobytą twierdzą.

- Nikt.

- Chcesz mi powiedzieć, że... - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jesteś jedyną kobietą, która spała w tym łóżku. Wbrew temu, co się o mnie plotkuje, nigdy i pod żadnym pozorem nikogo nie zapraszam do siebie.

- Nawet na kawę?

- Nigdy i pod żadnym pozorem - powtórzył.

Spojrzała na niego z aprobatą.

- To dobrze ze względu na Breannę. A jak ci się spało na kanapie? - zmieniła temat.

- Całkiem dobrze.

Co jej ma powiedzieć? Kanapa może nadaje się na drzemkę w niedzielne popołudnie, ale trudno się na niej wyspać. Nie mógł usnąć nie tylko dlatego, że jest dla niego za krótka, lecz długo nie umiał opędzić się od myśli o ojcostwie, nowych obowiązkach, decyzjach, które będzie musiał podjąć, i czekających go sprawach praktycznych. Kiedy wreszcie uznał, że te wszystkie problemy mogą poczekać do rana, jego umysł

zaprzątnęła Maggie leżącą w jego pościeli i jej koronkowa bielizna złożona przy łóżku.

Nad ranem powiedział sobie wreszcie, że gdyby Breanna się rozplakała, Maggie na pewno do niej pobiegnie. Dopiero wtedy zdołał się uspokoić i zapadł w sen. Teraz, dzięki temu, że Maggie jest przy nim, będzie mu łatwiej zmierzyć się z nowym dniem.

Jutro ma dyżur i nie wie, co zrobi z Breanna. Mógłby ją wprawdzie zabrać na posterunek, ale nie chce narażać swej córeczki, jeśli to jego córeczka, na kolejne zmiany.

Może powinien poprosić kapitana o urlop? Ale wtedy musiałby przekonać Maggie, żeby też się zwolniła z pracy, bo nie wyobraża sobie, by mógł bez niej poradzić sobie z malutką.

- Zamyśliłem się, przepraszam. Tak, wyspałem się jako tako.
- To dobrze, bo mam pomysł na wycieczkę - powiedziała z uśmiechem.
- Jak to? Z Breanną? - dopytywał się zaskoczony.
- Tak. Pojedziemy do mojej przyjaciółki.
- Po co? - spytał szorstko, bo życie towarzyskie nie było mu w głowie. - Jutro idę do pracy, więc chciał- bym poszukać jakiejś opieki dla małej. Coś trzeba będzie z nią zrobić.
- Musisz mieć kogoś, kto się nią zajmie w domu, bo w pobliżu chyba nie ma całodobowego żłobka.
- Przecież nie znajdę nikogo z dnia na dzień.
- Ty naprawdę jesteś szczęściarzem. Moja przyjaciółka Nancy właśnie wróciła do Barton Hills. Przez kilka lat mieszkała w Nowym Jorku, gdzie zajmowała się dzieckiem jakiegoś bankowca, który ostatnio stracił pracę z powodu kryzysu. Teraz sama szuka zajęcia, ale nie wiem,



czy podjęłaby się opieki nad Breanną, bo nie potrzebujesz pomocy codziennie. W każdym razie pozwoliłam sobie do niej zadzwonić.

To fantastyczna wiadomość.

- No i co? - spytał, nie dowierzając własnemu szczęściu.

- Nancy chce się z tobą spotkać, żeby dowiedzieć się, czego byś od niej oczekiwał. Na razie mieszka u rodziców, którym pomaga w remoncie domu.

- Czy można na niej polegać?

- Myślę, że tak, skoro przez pięć lat pracowała w jednym miejscu i ma doskonale referencje. Ale muszę cię ostrzec. Jeśli idzie o pracę, jest wybredna, a poza tym sporo bierze.

Za opiekę nad Breanną Joe gotów byłby zapłacić każdą sumę.

- Bądź spokojny, przekonam ją, że jesteś porządnym facetem.

- Naprawdę? Zrobisz to dla mnie?

- Jasna sprawa. W końcu jesteśmy partnerami w pracy i musimy sobie pomagać.

Partnerzy. Maggie nadała temu słowu nowe znaczenie. Wpatrywał się w nią, dziękując Bogu, że los ich ze sobą połączył.

- Jeżeli nie chcesz jej zatrudnić, powiedz wprost.

- Oczywiście, że chcę.

- Ale nie widzę w tobie entuzjazmu. Naprawdę, nie obrażę się, jeśli uznasz, że to rozwiązanie ci nie odpowiada.

- Bardzo mi odpowiada. Aż nie chce mi się wierzyć, że nie śnię. - Odstawił filiżankę, po czym bez namysłu przyciągnął Maggie do siebie i ją pocałował.

Miał to być szybki pocałunek wdzięczności, ledwie muśnięcie, lecz gdy spotkały się ich usta, natychmiast o tym zapomniał. Kiedy zaskoczona rozchyliła wargi, przestał dla niego istnieć cały świat.

Upiory przeszłości, których nigdy nie zdołał całkowicie pogrzebać, odżyły na nowo z powodu Breanny, lecz ten pocałunek przywrócił go do życia.

Przytulił ją mocniej, a ona odwzajemniła uścisk. Jej dłonie pieszczące mu kark rozpały go tak, jak jeszcze w życiu nie rozpały go dotyk żadnej kobiety.

Breanna gaworząca w tle coraz mocniej stuknęła łyżką w stół. Poznał ją już na tyle, by wiedzieć, że skończyła jeść i prosi, aby się nią zająć.

Wbrew sobie rozluźnił uścisk, ale nie mógł się oderwać od Maggie. Serce waliło mu jak szalone, z trudem łapał oddech.

- Nie powinniśmy tego robić - szepnęła.
- Może masz rację - przyznał bez przekonania. Ten pocałunek uszczęśliwił go i przywrócił mu siły.
- Nie róbmy tego więcej.
- Dlaczego?
- Nie dość mamy problemów?

„Mamy”. Liczba mnoga. To było dla niego nowością i bardzo go ujęło. Nikt tak nigdy o nim nie powiedział, ale i on nie chciał do tego dopuścić, bo wiedział, że prędzej czy później zostanie sam.

- Pamiętaj, że razem pracujemy. Nie wolno nam łamać zasad.
- Ale w pracy jesteśmy równi, więc to nic zdrożnego. Poza tym partnerami będziemy tylko do czasu, gdy wyzdrowieje Robert.

- Wszystko jedno, nie wolno nam sobie na to pozwalać. Przychodzimy na tę samą zmianę, śpimy we wspólnej sali. Nie możemy dopuścić do plotek.

Niech to diabli! Niestety ona ma rację, hormony nie mogą przesłonić im świata, choć za parę miesięcy nie będą już razem pracować. Rzecz w tym, że on nie chce się wiązać na dłużej, a Maggie, o ile mu wiadomo, po niedawnym rozstaniu pragnie stabilnego związku.

- To był tylko pocałunek.

- W porządku, pod warunkiem, że oboje zdajemy sobie sprawę z naszej sytuacji.

- Dobrze, będzie tak, jak zechcesz. - Lecz gdy patrzył na nią, jak głaszcze Breannę po główce i łaskocze pod bródką, nie wiedział, czy ona sama sobie wierzy.

- A skoro mówimy o pracy - zaczęła powoli i z namysłem - zastanawiam się, czy można już zostawić Breannę z opiekunką. Nie chciałbyś wziąć jutro wolnego dnia? Właściwie to chyba powinienes się zwolnić na tydzień. Kapitan na pewno by się zgodził.

- Ale wiesz, że brakuje ludzi.

- Mógłby cię zastąpić któryś z przeszkolonych medycznie strażaków. Wczoraj miałam dyżur z Kevinem.

Joe z jednej strony czułby się nie w porządku, gdyby z dnia na dzień poprosił o zwolnienie, z drugiej, musiał myśleć o Breannie. Czy można ją tak szybko zostawić z opiekunką? Nagle uświadomił sobie, że jego koledzy muszą dokonywać podobnych wyborów. Nie jest im łatwo, choć w odróżnieniu od niego mają żony.

- Malutkiej lepiej będzie z opiekunką niż ze mną - powiedział stanowczo.

- Ale zanim ją komuś powierzysz, ona musi się przyzwyczaić do ciebie.

- Tak byłoby najlepiej, ale oboje wiemy, że trzeba znaleźć jakiś kompromis. Jak długo potrwa, zanim ona zrozumie, że nie chcę jej robić krzywdy? Ile minie czasu, zanim się do mnie przyzwyczai? Być może potrwa to całe miesiące, a ja nie mogę tak długo żyć w zawieszeniu.

- To prawda, ale to się na pewno nie stanie w dwa dni - odparła zdecydowanie.

- Dobrze, porozmawiam z kapitanem. Poproszę go o zwolnienie pod warunkiem, że bez kłopotów znajdzie kogoś na moje miejsce. - Zapewne jednak szef każe mu przyjść do pracy i ten problem sam się rozwiąże.

- Świetnie. A teraz wezmę prysznic, więc zostawiam was samych.

Musiał powstrzymać się, by nie zaprotestować. Usłyszał, jak Maggie zamyka drzwi do łazienki, lecz wciąż czuł zapach jej ciała.

- Widzisz, malutka, zostaliśmy we dwoje.

- Mama? - Breanna wpatrywała się w niego. Nadzieja w jej głosie do głębi go poruszyła.

- Nie ma mamy - powiedział łagodnie i pogładził dziewczynkę po główce. - Ale ja jestem.

Breanna wyciągnęła do niego rączki i zaczęła się wiercić na krzeselku, chcąc najwyraźniej, żeby ją wziął na ręce. Przeszli do salonu, gdzie usiadł z nią w fotelu. Po chwili, gdy znów zaczęła się wiercić, posadził ją na podłodze przy koszu z zabawkami.

Przez piętnaście minut przypatrywał się, jak mała się bawi, łapie grzechotki, ściska gumowe zabawki, bierze do buzi ogon plastikowego pieska, włącza pozytywkę. Nie mógł oderwać od niej wzroku i dopiero powrót Maggie obudził go z tej hipnozy.

- Jak tam sobie radzicie?
- Obyło się bez strat w ludziach i sprzęcie.

Na jej widok poczuł ogromną ulgę. I nie wierzy, by sobie poradził, gdyby zostawiła go na kilka godzin, a tym bardziej na cały dzień.

TLR

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

- Chciałbym cię poprosić na słowo. – Kapitan Keller zajrzał do ka-  
retki, gdzie Maggie rutynowo dezynfekowała łóżko i zmieniała  
prześcieradło po prze- wiezieniu pacjentki, osiemdziesięcioletniej pens-  
jonariuszki domu opieki, która złamała kość biodrową.

- Już wysiadam - powiedziała pogodnie, lecz na widok poważnej  
miny szefa spytała z niepokojem: - Czy coś się stało?

- Niech to pozostanie między nami, ale bardzo cię proszę, żebyś nie  
spuszcziała oka z Joego – rzekł ściszone głosem.

- Oczywiście. Zresztą partnerzy zawsze patrzą sobie na ręce. - Tak-  
townie nie wspomniała, że to niepisane prawo doprowadziło między ni-  
mi do napięcia. Joe przyglądał się jej nazbyt uważnie i na każdym kroku  
dopatrywał błędów, ona zaś stała się zaczepna i podejrzliwa. Ale miała  
nadzieję, że to już przeszłość.

- Wiem o tym, jednak bardzo cię proszę, daj mi znać, jeśli uznasz,  
że on sobie nie radzi.

- Oczywiście - powtórzyła z namysłem, zdziwiona, że szef, który  
zwykle ucinał wszelkie rozmowy o podwładnych, tym razem odstępuje  
od tej zasady.

- Jak wiesz, Joe znalazł się w wyjątkowo stresującej sytuacji - ciągnął kapitan. - Chętnie dałbym mu wolny dzień, a nawet wystąpił dla niego o nagły urlop wychowawczy, ale - potrząsnął głową - brakuje nam ludzi, bo nie dość, że kilku poszło na urlopy zdrowotne, to jeszcze mamy szkolenie dotyczące podpaleń.

- Joe zdaje sobie z tego sprawę. - Kiedy relacjonował jej swoją wczorajszą rozmowę z kapitanem, wprawdzie nie powiedział wprost, że cieszy się z powrotu do pracy, ale wyczuła w jego głosie ulgę. Chociaż nie było to najlepsze dla Breanny, Maggie rozumiała szefa.

- Nie wątpię, że trudno mu pogodzić pracę z opieką nad niemowlęciem - ciągnął kapitan. - Człowiek, który od kilku dni nie dośypia, nie funkcjonuje najlepiej na służbie. Chciałbym, żebyś była tego świadoma. Jeśli zauważysz coś niepokojącego, bardzo proszę, daj mi znać.

- Dobrze - przyrzekła, zastanawiając się jednak, co zrobi jej szef, jeśli ona zauważy i powie mu, że Joe popełnił jakieś błędy. Czy odeśle go do domu? Porozmawia z nim? Zdecyduje, by Maggie objęła nad nim zwierzchnictwo?

Na razie jednak nie warto z góry o tym myśleć. Dla niej zawsze najważniejsze jest dobro pacjentów, niezależnie od osobistych problemów jej partnera.

- Maggie, jeszcze jedna sprawa. Joe powiedział mi, że mu pomagasz w opiece nad dzieckiem. Nazwał cię wręcz darem niebios. - Keller uśmiechnął się szeroko. - Czyli w twoim życiu też zaszła spora zmiana.

- No cóż, gdybym ostatnio nie dostała reprimendy od pana kapitana, nie mieszałabym się do problemów rodzinnych Joego - odparła cierpko. - Postanowiłam mu pomóc tylko dlatego, że to mój partner. Nie mogłam go zostawić, bo z niemowlęciem jest bezradny.

- To dla ciebie także trudna sytuacja. Czy on wie o Arthurze i chłopcach?

- Tak, słyszał to i owo o tej historii.

- Cieszę się, że zamiast się boczyć na siebie, umiecie się wspierać. Powinnaś jednak dbać o własne dobro i pamiętać, że nie możesz się nadmiernie poświęcać. Poprzednio dawałaś z siebie zbyt wiele.

Po wyjeździe Arthura i chłopców robiła wszystko, co było w jej mocy, by w pracy nie okazywać rozpacz. Myślała, że koledzy nie wiedzą, jak bardzo przeżywa rozstanie, ale najwyraźniej się myliła. Na pewno nie uszło ich uwadze, że w czasie bezsennych nocy błąkała się po korytarzach, że rano miała zmęczone i zaczerwienione oczy, że słysząc jakąś opowieść czy anegdotkę o dzieciach, natychmiast sztywniała.

- Pamiętam o sobie. Zresztą to jest zupełnie inna sytuacja. Przy Breannie jestem dobrą ciocią, która tylko pomaga, tak jak pomagam braciom przy jego dzieciach.

- Bardzo się z tego cieszę. - Kapitan uśmiechnął się z aprobatą. - Daj mi znać, jeśli uznasz, że mogę jakoś pomóc Joemu.

- Oczywiście. - Maggie zabrała się do przerwanej pracy z poczuciem, że nie powiedziała prawdy. Pomoc Joemu różniła się od pomocy braciom, bo wobec swego partnera nie miała uczuć braterskich. Wykluczały to choćby jego pocałunki.

Gdy kończyła dezynfekcję, do karetki zajrzało dwóch strażaków, Gary Shepherd zwany Shepem, i Jim Bowman - Jimbo.

- Cześć, Maggie. Masz chwilę?

- Dopóki nie wróci Joe.

- Omawia raport z porucznikiem. To jeszcze potrwa parę minut. No więc powiedz nam, czy to prawda? Czy on ma dziecko?



- Kto wam o tym powiedział?
- Nikt. Po prostu słyszeliśmy jego rozmowę z kapitanem.
- To prawda. - Postanowiła zachować ostrożność.

- Pamiętacie ten wypadek samochodowy sprzed kilku dni, w którym zginęła kobieta? Uderzyła w latarnię. Była przyjaciółką Joego. Jako samotna matka, w razie gdyby się coś z nią stało, ustanowiła go opiekunem prawnym swojej córeczki.

- Czyli został tatusiem. - Shep potrząsnął głową.

- Biedny chłopak. Pamiętam swoje przerażenie na widok naszej pierworodnej, a miałem przecież dziewięć miesięcy, żeby się oswoić z myślą o dziecku. A do tego wszystkiego on jest sam.

- Dziecko niezbyt do niego pasuje - dodał Jimbo.

Skoro Joe ma opinię kobieciarza, nie będzie wyprowadzać ich z błędu. To w końcu jego sprawa, że się nikomu nie zwierza z samotnie spędzanych wieczorów.

- Łagodnie rzecz ujmując - Shep zgodził się z kolegą. - Ale mogę się założyć, że się ożeni w ciągu najbliższego roku - dodał tonem dojrzałego i doświadczonego mężczyzny. - Samotni ojcowie przyciągają kobiety, bo one mają instynkt opiekuńczy.

Te słowa ją zelektryzowały, choć nie powinny. Kontaktuje się z nim poza pracą wyłącznie ze względu na Breannę, a tak czy inaczej, za kilka tygodni przestanie mu pomagać.

- W każdym razie Joe jest przytłoczony obowiązkami i będzie mu potrzebne wasze wsparcie.

- Jasna sprawa. - Skinęli głowami.

- Ty też, rzecz jasna, go wspierasz? - Shep zerknął na nią badawczo.

Zgodnie z niepisanym prawem partnerzy powinni sobie pomagać. Gdyby Joe sam musiał się zmagać z trudami swego położenia, złamałaby kodeks honorowy. Lecz gdyby w obawie przed plotkami wolała nie wspominać o swej pomocy przy dziecku, nie może zaprzeczać faktom, bo prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw.

- Poprosił mnie, żebym przez kilka tygodni pomogła mu w opiece nad małą - przyznała. - On musi trochę stanąć na nogi. Choć tyle mogę dla niego zrobić. - Celowo nie powiedziała im o teście na ustalenie ojcostwa, bo to także jest sprawa Joego i to on zdecyduje, czy chce o niej mówić.

Pociągła twarz Shepa rozjaśniła się w pełnym aprobaty uśmiechu. A jego zdanie liczy się szczególnie, bo nikt nie ośmielił się dyskutować z najstarszym strażakiem w zespole.

- Super, ty się do tego idealnie nadajesz. A więc jest siła wyższa, bo ktoś na górze pociąga za sznurki. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby Donatelli był w parze z Klaxtonem?

George Klaxton jest w zasadzie poczciwy, ale ma mnóstwo problemów. Finansowych, małżeńskich, rodzinnych. Kryzys goni w jego życiu za kryzysem, więc trzeba go nieustannie wspierać. Joe nie miałby z niego pożytku. George najwyżej mógłby go zaciągnąć na piwo, żeby mu się wyzalić z własnych nieszczęść.

Maggie, nie wiedząc czemu, wzięła sobie do serca uwagę Shepa o małżeństwie. Przecież tamten pocałunek o niczym nie świadczy. Joe po prostu spontanicznie wyraził jej wdzięczność. A ona od dawna z nikim się nie spotyka, więc trudno się dziwić, że jako atrakcyjny mężczyzna wywołał w niej burzę hormonów.

- Zastęp drugi, wóz numer dwa - usłyszała dyspozytora. - Wypadek na przejeździe kolejowym przy ulicy Pine. Są ranni.

Natychmiast wyskoczyła z karetki, zasunęła za sobą tylne drzwi, po czym zasiadła za kierownicą. Po chwili dobiegł Joe i reszta załogi.

W osiem minut dojechali na miejsce. Po zderzeniu z lokomotywą czerwone auto osobowe zostało przeciągnięte po torach kilkanaście metrów. W pobliżu stały już dwa radiowozy policyjne z włączonymi światłami alarmowymi. Przy wraku samochodu zebrała się grupka gapiów.

- To nie wygląda dobrze. - Maggie zahamowała gwałtownie. Tuż za nią zaparkował samochód strażacki. - Ile osób jest w środku?

- Chyba jedna, ale to o jedną za dużo. - Joe odpiął pas i z zestawem do pierwszej pomocy wyskoczył z karetki.

- Kobieta za kierownicą jest nieprzytomna – rzucił jeden z policjantów.

Joe i Maggie pochylili się nad ofiarą. Z jej ust i nosa spływała strużka krwi.

- Halo, proszę pani, proszę powiedzieć, gdzie panią boli.

Kobieta bezgłośnie poruszyła ustami. Joe powtórzył pytanie, jednocześnie mierząc jej tętno.

- Głowa, głowa - wykrztusiła z trudem.

- Wszystko będzie dobrze. Zabieramy panią do szpitala.

- Moja... córka...

- Córka? - Joe znieruchomiał.

- Na lekcji tańca... Trzeba ją odebrać. Joe z ulgą powiedział:

- Musimy jak najszybciej wydostać ranną z auta. Nadbiegli strażacy.

- Stan ofiary? - rzucił kapitan Keller.

- Trzeba ją jak najszybciej wydostać – powtórzył Joe ściszym głosem. - Potrzebne są nożyce do cięcia metalu.

Gdy Maggie i Joe kładli brezent, by zabezpieczyć ofiarę przed metalowymi odłamkami, kobieta osunęła się bezwładnie. Joe zmierzył jej puls i zaklął pod nosem.

- Pospieszcie się! - zawołał do strażaków. Shep i inni zwijali się jak w ukropie, ale mijające

sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Udało im się skończyć po czterech minutach.

- Mamy jej dokumenty - powiedział jeden z policjantów. - Angela Merton. Powiadomiliśmy jej męża. Jedzie do szpitala.

- Jest bardzo źle! - Joe pochylił się nad noszami. Maggie, czekająca w karetce za kierownicą, połączyła się ze szpitalem, a dwóch ratowników szybko przeniosło kobietę do ambulansu.

Na oddział ratunkowy dotarli w błyskawicznym tempie. Na podjeździe czekał zespół medyczny.

- Mam nadzieję, że dziś już nie spotka nas nic gorszego. - Maggie stojąca w szpitalnym holu czuła, że jeszcze nie opadła jej adrenalina.

- Ja też. Może byśmy napili się kawy?

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo dyspozytor przez radio następane wezwanie. Pobiegli do karetki i na sygnale ruszyli do sześćdziesięcioletniego mężczyzny z podejrzeniem zawału.

Gdy po czterdziestu minutach odwieźli go do szpitala na badanie serca, na korytarzu zobaczyli lekarza z zespołu, który zajął się Angellą Merton.

- Jak ranna z wypadku? - spytał Joe.

- Nic się nie dało zrobić. - Lekarz rozłożył ręce.

- Co za tragedia - Maggie powiedziała cicho.

- Tak, to bardzo smutne - przyznał Joe. - Ciekawe, co Shep szykuje nam na kolację.

Maggie spojrzała na niego zaskoczona. Że też on może teraz myśleć o jedzeniu? Ale gdy otworzyła usta, by mu to powiedzieć, dostrzegła na jego twarzy grymas bólu. Nie jest gotów przyznać, jak trudno mu pogodzić się z tą śmiercią.

Uświadomiła sobie, że w ciągu trzech tygodni wspólnej pracy nie brała pod uwagę tego, że jego kamienny spokój jest tylko pozorny. Pod maską opanowania i chłodu kryją się emocje, których Joe woli nie uzewnętrzniać.

Zastanowiło ją także, czy inni również dają się zwieść tym pozorom. W ciągu ostatnich dwóch dni wbrew temu, co myślała o nim początkowo, przekonała się, że nie brak mu serca, lecz bojąc się zranienia, po mistrzowsku potrafi to ukrywać.

W ciągu dnia Joe był zbyt zaprzątnięty pracą, by myśleć o życiu osobistym, lecz teraz, gdy leżał na łóżku w zbiorowej sali, wsłuchując się w ciche pochrapywania kolegów, wróciły wspomnienia.

Prośba Dee o opiekę nad dzieckiem spędzała mu sen z powiek. Z latarką ruszył do siłowni w podziemiach. Miał nadzieję, że zmęczenie fizyczne pozwoli odgonić te myśli.

Maggie, która gotuje, by opanować stres, przynajmniej robi coś pożytecznego. Chłopców nieraz budził rano zapach świeżo upieczonych bułeczek z cynamonem. A jego metoda zaowocuje tylko bólem mięśni.

Wyciskanie ciężarów przez godzinę zmęczyło go fizycznie, ale wciąż bał się wrócić do łóżka. Tym bardziej że Maggie śpi tuż za przejściem. Przez ostatnie lata pracował z kilkoma kobietami, ale żadna

z nich nie podobała mu się tak jak ona. Wyzwoliła w nim nieznane mu emocje, sprawiła, że zaczął marzyć. I dlatego zapewne próbował znaleźć powody, by jej nie lubić.

- Nie możesz usnąć? - Nie słyszał, jak weszła.

Zaskoczony omal nie upuścił dwudziestokilogramowego odważnika.

- O rany, przestraszyłaś mnie! Co tu robisz o tej porze?

Maggie miała na sobie służbowy dres, ale ponieważ chłopcy lubili przykręcać ogrzewanie, założyła dodatkowo grubą bluzę z kapturem.

- Mogę cię spytać o to samo.

- Szkoda gadać. Wracaj do łóżka.

- Coś ci dolega. Nie mogę udawać, że tego nie widzę. W końcu jesteśmy partnerami.

- Nic mi nie jest.

- Joe, może inni dadzą się nabrać na twój spokój i chłód, ale mnie nie oszukasz. Musisz być ze mną szczery. Czy śmierć pani Merton przypomniła ci o Dee?

- W pewnym sensie - przyznał.

- I to ci nie daje spokoju?

- Wiem, że zarzucisz mi niekonsekwencję. - Przyznając się do uczuć, zadawał kłam całej przemowie, jaką jej wygłosił w związku z Hildą Myers.

- Sądziłam, że zdążyłeś już poznać mnie lepiej - powiedziała po chwili milczenia. - Zrozum, że niektóre wypadki są dla nas wyjątkowo bolesne. Na pewno przekonałeś się, że czasem pacjenci mogą ci przypominać bliskich. Ludzi, których kochasz.

Rzeczywiście, wiele razy miał do czynienia z agresywnymi, posługującymi się pięścią pijakami. Tak, widział mężczyzn przypominających mu ojca. Dee była mu bliska, lecz ona stanowiła wyjątek.

- To mi się nie zdarzyło.

- Nigdy? - Zamrugła z niedowierzaniem.

- Ani razu.

- Zdumiewa mnie twoja obojętność – powiedziała ze smutkiem.

- Emocje zaburzają trzeźwość umysłu, bez której stajemy się mniej skuteczni w działaniu.

- Ale w przypadku Dee było inaczej. Ona była wyjątkiem.

- To prawda - westchnął z głębi serca.

- Gdybyś po utracie przyjaciółki nie odczuwał bólu, to byłby dla mnie powód do niepokoju.

Nigdy nikt się o niego nie martwił, to pojęcie było mu obce i nie chciał się z tym pogodzić. Jeszcze trudniej było mu patrzeć na nią, na jej długie kręcone włosy i zgrabną figurę, której nie maskował nawet dres. Otarł ręcznikiem twarz. Kobiety nie powinny pracować w tym zawodzie.

Ona nie powinna. Bo dopóki razem pracują, wbrew sobie nie powinien się z nią wiązać.

- Opowiedz mi o Dee. - Przysiadła na rowerze do ćwiczeń.

W ciągu tych trzech tygodni nauczył się o Maggie jednej rzeczy. Gdy chce się czegoś dowiedzieć, nigdy nie ustępuje, będzie drążyć do końca.

- Niewiele mam o niej do powiedzenia.

- Nie wierzę. Przede wszystkim co was do siebie zbliżyło?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Oczywiście. Jak mi o tym opowiesz, poczujesz się lepiej. Bądź spokojny, zachowam to dla siebie.

Nagle poczuł, że bardzo chce ją pocałować. Powtórzyć to, co zrobił wczoraj. Ale mu tego nie wolno. Z pewnością nie wolno mu tego robić tutaj. Gdyby ich ktoś przyłapał, to byłby koniec jego kariery zawodowej. Ratownictwo jest jego życiem, którego nie można bezmyślnie narażać dla chwilowej zachcianki.

Ona musi stąd wyjść jak najszybciej, a tego nie zrobi, jeśli jej nie odpowie. Dla jej spokoju trzeba skapitulować, pomyślał, jeszcze raz ocierając twarz.

- Co chciałabyś wiedzieć?

- Jak się poznaliście? Czy od dawna byliście przyjaciółmi? Czy umiała cię rozśmieszyć?

- Była kelnerką w restauracji blisko mojego domu. Wpadłem tam któregoś wieczoru. Zaczęliśmy rozmawiać. Mieszkała w bloku parę ulic dalej. Ponieważ późno kończyła pracę, często ją odprowadzałem.

Pewnego razu zaproponowała mu, by został do rana. Ale mówienie o tym Maggie krępowało go.

- Jaka ona była?

- Spokojna, dużo się śmiała, ale niewiele mówiła. Studiowała zaocznie dziennikarstwo, tak jak ja wychowała się w rodzinach zastępczych. - Maggie powinna wiedzieć, że zbliżyła ich do siebie wspólna przeszłość.

- Kiedy widziałeś się z nią po raz ostatni?



- Półtora roku temu wyprowadziłem się z tamtej dzielnicy. Wtedy urwały się nasze kontakty. Wciąż nie mogę uwierzyć, że podała mnie za ojca Breanny. Jeśli to moje dziecko, chyba szkoda, że mi o tym nie powiedziała. Czemu tego nie zrobiła?

- Bez wątpienia miała powody.

Dee chciała mieć dużo dzieci, a on często powtarzał, że po smutnych doświadczeniach z własnym ojcem obawia się ryzyka i nie chce założyć rodziny. Dlaczego Dee nie uszanowała jego woli, pozostaje dla niego zagadką. Jedyne logiczne wyjaśnienie, że jednak zawiodła ich antykoncepcja, nie wydaje się prawdopodobne.

- Ale uważasz, że Breanna nie jest twoim dzieckiem? - Maggie nie dawała za wygraną.

- Mam co do tego absolutną pewność i postaram się odszukać jej ojca.

- Życzę ci powodzenia. - Ziewnęła. - A teraz marzę tylko o tym, żeby położyć głowę na poduszce i zmrużyć oko przed pobudką. Idziesz spać czy chciałbyś najpierw napić się gorącej czekolady?

Jej propozycja powrotu do łóżka była całkowicie niewinna. Gdyby wiedziała, co mu chodzi po głowie, na pewno nie chciałaby go widzieć w sali.

- Wracam do łóżka. - Z ręcznikiem na szyi ruszył za nią do drzwi.

Na korytarzu Maggie nagle się zatrzymała i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Dam ci dobrą radę. - Lekko zmarszczyła nos. - Weź najpierw prysznic, bo chłopcom przyśni się inwazja skunksów.

- Jakoś znosisz zapachy w szatni...

- Ale nie wtedy, kiedy próbuję zasnąć.

- Okej, dla ciebie jestem gotów na wszystko – rzekł z westchnieniem.

Gdy zasypiał, wciąż jeszcze miał przed oczami uśmiech, który rzuciła mu na odchodnym.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

O czwartej nad ranem z głębokiego snu wyrwał ją alarm. W dzielnicy przemysłowej palił się magazyn. Do akcji gaśniczej ruszyły wszystkie wozy. Podobnie jak Joe, karierę zawodową zaczęła od pracy strażaka, ale później obydwójce zostali wyszkoleni w ratownictwie medycznym. Mimo znakomitych kwalifikacji ich koledzy często wychodzili z walki z ogniem poszkodowani. Jako ratowniczką miała więc do czynienia z oparzeniami, ranami, złamaniami, zatruciami dymem. Dbała także, by strażacy nie ulegli odwodnieniu i w czasie akcji mogli się zregenerować.

Teraz, o wschodzie słońca, czekali z Joem w karetce, podczas gdy ich koledzy walczyli z pożarem.

- Kiedy tak siedzę beczynnie, a oni wyciskają z siebie siódme poty, mam wyrzuty sumienia.

- Nie powinnaś czuć się winna. - Joe zerknął na zegarek. - Zresztą Shep i Jimbo niedługo tu przyjdą, bo im się kończy zapas tlenu. Zaraz będziemy mieli ręce pełne roboty.

Każdy ze strażaków miał po dwie butle z tlenem, które starczały im na jakieś czterdzieści minut ciężkiej pracy.

Joe miał rację. Po kilku minutach Jimbo z Shepem przyszli do karetki. Śmierdzili dymem, z trudem łapali oddech, ich twarze zalewał pot.

- Jak tam? - Posadziła ich na tyle samochodu, po czym pomogła im ściągnąć kombinezony.

- Fajna pobudka. - Shep uśmiechnął się krzywo.

- Dlatego zarabiamy mnóstwo kasy - dodał Jimbo.

- Miałem akurat fantastyczny sen. - Shep uśmiechnął się z rozmarzeniem. Maggie nałożyła mu na palec pulsoksymetr, by zmierzyć saturację krwi. - Wypłynąłem łodzią na środek jeziora. Ryba brała jak szalona, wystarczyło tylko zarzucić przynętę. Alarm zbudził mnie, kiedy ciągnąłem ogromną sztukę, i teraz nigdy się nie dowiem, czy ją wyłowilem.

- Biedny Shep - uśmiechnęła się Maggie.

Zgodnie z przewidywaniami miał lekko przyspieszone tętno i trochę podwyższone ciśnienie, ale saturacja krwi była w normie. Po krótkiej przerwie i wypiciu butelki wody może, podobnie jak Jimbo, wracać do akcji. Pozostali strażacy zgłaszali się po kolei do karetki, po czym wracali do pracy. Gdy już niemal uporali się z ogniem, nagle w odległej części pogorzelniska wybuchło zamieszanie.

Zaskrzeczało radio:

- Mamy ранnego, ogłaszam alarm! - W słuchawkach rozległ się głos kapitana Kellera.

- Co się stało? - zapytała Maggie z niepokojem.

- Zaraz się dowiemy. Ale popatrz, poszkodowany idzie o własnych siłach, więc to chyba nic groźnego.

Jimbo podtrzymywał bladego jak ściana Shepa - byli o kilka metrów od ambulansu.

- Co się stało? - Maggie podbiegła do nich.

- Przewróciłem się - odparł Shep, siadając na wózku, który podstawił mu Joe. - Nie mogę ruszyć ręką, boli mnie jak diabli. Chyba wybiłem sobie ramię.

Maggie rozpięła mu kombinezon.

- Na to wygląda. Musi obejrzeć cię lekarz. Klnąc pod nosem, Shep przymknął oczy, gdy unieruchomiwszy mu rękę, kładli go w karetce.

- Wygląda na zwichnięcie, ale na wszelki wypadek zrobimy mu rentgen - powiedział lekarz dyżurny w szpitalu. - Trzeba będzie nastawić mu ramię. To nie potrwa długo, więc idźcie tymczasem na kawę.

- Dobrze. - Joe zgodził się z lekarzem. - Poza tym musimy uzupełnić zapasy bandaży i lekarstw.

- Pielęgniarka da wam znać, jak skończymy - powiedział lekarz na odchodnym.

- Masz przy sobie spis brakujących rzeczy, czy mam skoczyć na posterunek? - spytała Maggie.

Joe złapał ją za rękę i pociągnął do windy.

- Nie martw się, mam go w kieszeni, ale najpierw zjemy śniadanie.

- Jesteś głodny? - zapytała z uśmiechem.

- Jak wilk. Dziś mam dziką ochotę na gofry.

- Coś takiego.

- Nie jestem zbyt wybredny, ale przyznaję, że śniadanie to mój ulubiony posiłek. Lepiej przestań, mnie przesłuchiwać, bo mi wszystko wyjedzą.

- Nie wyjedzą, nie wyjedzą, bądź spokojny.

Ale to Joe miał rację: w bufecie udało mu się zdobyć dwa ostatnie gofry.

- A nie mówiłem?

- Kto by pomyślał. - Usiadła przy nim z porcją jajecznic na bekonie i małą miseczką sałatki ze świeżych owoców. - Mam wyrzuty sumienia, bo chłopaki nie jedzą dziś takich frykasów.

- Ale jaki byłby dla nich pożytek, gdybyśmy nie skorzystali z okazji?

- Chyba masz rację.

- A poza tym, to chyba jest zdrowsze od kanapki z automatu?

Spojrzała na gofry, które polał obficie syropem.

- Naprawdę chcesz, żebym ci odpowiedziała?

- Nie musisz. - Uśmiechnął się wesoło, a jej zrobiło się ciepło na sercu.

Sądząc po zapatrzonych w niego pielęgniarce przy sąsiednich stolikach, ten uśmiech działał nie tylko na nią. Ale to ona jest jego partnerką, pomyślała z dumą, i to jej powierzył swą sprawę z Breanną. Musi jednak pamiętać, że pełni tę rolę jedynie czasowo. Arthur, który się nie umywał do niego, nauczył ją ostrożności.

- Jakie masz plany na najbliższe dwa dni? - spytał, gdy po jego gofrach nie zostało śladu.

- Dziś wybieram się do Kansas City z moją przyjaciółką Tristą po suknię ślubną.

- Kiedy wrócicie? - spytał, siląc się na obojętność. Tak jak przypuszczała, Joe śmiertelnie się bał zostać

sam na sam z Breanną.

- A co za różnica?

- Myślałem, że dasz się zaprosić na kolację. - Lekko się zaczerwienił. - Robię fantastyczne steki.

- To brzmi kusząco, ale nie chcę niczego przyrzekać. Trista zapowiedziała mi, że nie wrócimy bez sukienki. Może kiedy indziej?

- A co robisz jutro?

- Poza pracą w ogródku niczego nie planuję. Właściwie to Breanna mogłaby też trochę pokopać. Przydadzą mi się dodatkowe ręce do roboty.

- Świetnie. Będziemy u ciebie z samego rana, bo kto rano wstaje...

- Wystarczy, że przyjedziecie na dziesiątą.

Joe zbierał siły na czekający go dzień, lecz wbrew jego buńczuczным słowom, że poradzi sobie z Breanna w każdej sytuacji, gdy tylko Nancy zostawiła ich samych, ogarnęła go panika. Pamiętając, co mu powiedziała Maggie o reakcji małej na jego niepokój, próbował nie poddawać się lękowi.

- No dobrze, malutka - powiedział, siadając koło niej przy stole, żeby ją nakarmić - dzisiaj będziemy tylko we dwoje, więc może nie uprzykrzajmy sobie życia.

Breanna chwyciła grzechotkę, zaśmiała się, słysząc jej dźwięk, po czym jak ptaszek otworzyła buzię i grzecznie zjadła łyżeczkę płatków owsianych.

To dobry znak, chyba jest w dobrym humorze, pomyślał Joe z nadzieją.

- Na co mamy dzisiaj ochotę? Pójdziemy do parku? Obejrzymy telewizję? A może chciałabyś dostać własną piaskownicę? Nancy mówiła, że wczoraj ślicznie bawiłaś się w piasku na placu zabaw.

Dziewczynka oblizwała się i zaszczębiotała.

- Okej, na pewno wymyślimy coś fajnego.

Ale gdy przyszło mu dokonać wyboru w sklepie z zabawkami, żałował, że nie ma przy nim Maggie. Ona by doradziła, czy kupić plastikową piaskownicę, czy lepsza będzie drewniana, którą trzeba samodzielnie złożyć. Ale gdy on ją będzie montował, kto się w tym czasie zajmie małą? Czy wybrać tę różową, w kształcie motyla, czy też zielonego żółwia, a może czerwonego hipopotama?

Miał ochotę zadzwonić do Maggie z komórki nie tylko po radę, ale także, by usłyszeć jej głos. Postanowił jednak nie niepokoić jej zbyt. W końcu Breanna sama dokonała wyboru: podeszła chwiejnie do żółwia, po czym się do niego wturlała.

Pod koniec dnia żałował, że Maggie nie widzi jego sukcesu, gdy zadowolona Breanna bawiła się w piaskownicy. Bardzo też chciał, żeby była przy nich, kiedy zmęczona i rozdrażniona dziewczynka za żadne skarby nie chciała się położyć na drzemkę.

Pragnął jednak również, żeby Maggie tu była nie tylko ze względu na małą. Tęsknił za jej uśmiechem, ściszonego głosem, dźwięcznym śmiechem i naturalnym wdziękiem, których nie sposób było w pełni docenić na dyżurach. Ale przede wszystkim chciał ją znowu pocałować.

Maggie od czasu zaręczyn Tristy cieszyła się, że pojedą po suknię ślubną dla przyjaciółki. Ale teraz, oglądając kreacje, które miały spełnić najśmielsze marzenia każdej kobiety, miała ochotę stąd uciec. Tęskniła za Joem.

Gdy patrzyła na koronki i tiule, miała przed oczami jego zawieszoną minę. Chociaż walczyła z poczuciem winy - ta wyprawa została zaplanowana na długo, zanim Breanna pojawiła się w jego życiu - czuła, że go zawiodła. Kilka razy przyłapała się na sprawdzaniu w komórce, czy do niej nie dzwonił i parę razy musiała się powstrzymać przed zatelefonowaniem do niego. Gdyby jej potrzebował, na pewno by się odezwał, powtarzała sobie.



Ale telefon milczał przez całe przedpołudnie, a ona nie wiedziała, czy bardziej pragnie, by Joe zadzwonił, czy ma się cieszyć, że radzi sobie bez niej. To dobrze, przekonywała się w duchu, choć w głębi serca nie była z tego powodu szczęśliwa. To z jej strony chyba szaleństwo i brak rozsądku, że pragnie być przy nim.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że może być spokojna o Breannę. Zdążyła zaobserwować, że Joe dba o małą niczym dzielny templariusz strzegący świętego Graala. Nie musi się martwić, Breanna jest w dobrych rękach. Niemniej niepokoiła się o niego. Nie życzyła mu trudnych przeżyć, które sprawią, że pochwyci się z obietnicy złożonej Dee. Najpierw powinien poznać, na czym miałyby polegać jego rola.

Choć on twierdzi, że nie nadaje się na ojca, jej intuicja temu przeczy. Po prostu sobie to wmówił.

W końcu jednak nie wytrzymała. Po lunchu w jej ulubionej restauracji rybnej zadzwoniła do niego, próbując zarazem nie zwracać uwagi na fakt, że jego numer zajmuje w jej komórce pierwsze miejsce na liście kontaktów.

- Słucham.

- Mówi Maggie. - Miała nadzieję, że zawsze tak sucho przyjmuje telefon i że nie wydarzyło się nic złego. - Jak wam leci?

- Obyło się bez strat w ludziach i sprzęcie.

Maggie uśmiechnęła się, słysząc znowu te słowa.

- Czyli wszystko dobrze?

Zapadła chwila ciszy, a ona wyobraziła sobie, jak Joe przeczesuje w zdenerwowaniu włosy.

- Chyba tak. - Gdy rozległ się krzyk Breanny, dodał: - Teraz jest zmęczona i rozdrażniona. A jak tam suknia ślubna?

- Za duży wybór, więc trudno się zdecydować. W tle słychać było płacz, a potem głośne uderzenie.

- Co się stało?

- Cisnęła klockami o ścianę.

- To napad złości. Musi mieć jakiś powód.

- Co ty powiesz! - odpowiedział z sarkazmem. - Muszę kończyć, zanim mi zdemoluje dom.

- Czy mam przyjechać?

- Nie - odparł po chwili milczenia. - Dzięki, dam sobie radę.

- Może powinieneś...

Rozłączył się, zanim zdążyła skończyć zdanie.

Niewiedza jest błogosławieństwem, pomyślała, zamykając klapkę komórki. Gdyby do niego nie dzwoniła, mogłaby spędzić resztę popołudnia w przekonaniu, że u nich nie dzieje się nic złego. Teraz będzie myślała tylko o tym, żeby tam jak najszybciej pojechać.

Przez dwie następne godziny próbowała nie okazywać zniecierpliwienia, wędrując całymi kilometrami wśród wieszaków z sukniami. Wreszcie Trista zerknęła na nią ze zrozumieniem.

- Mam wrażenie, że jesteś nieobecna myślami.

- Przyznaję, to prawda.

- Niepokoisz się o nich? - Przyjaciółka, która ją zawsze wspierała i знаła historię Breanny, musiała zauważyć, że od rozmowy z Joem Maggie sili się na entuzjazm.

- Obawiam się, że jest mu ciężko, ale nie chce się do tego przyznać.

- Posłuchaj...

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć. - Maggie złożyła ręce. - Że nie powinnam się w to angażować. Ale, bądź spokojna, wyjdę z tego obronną ręką.

- A czy ja mówiłam, że nie?

- Nie wprost, ale w to nie wierzysz.

- Twoje zdanie jest najważniejsze. Jeśli będziesz uważać na siebie, nie pozostaje mi nic innego, jak cię spytać, na co czekasz. Jedź do nich.

- Joe mówił, że sobie radzi, więc może wcale by go nie ucieszyło, gdybym tam wpadła bez zapowiedzi.

- Ale chyba chcesz się o tym przekonać na własne oczy?

- Czy to nie wariactwo?

- Tego bym nie powiedziała... - Trista nie zdążyła skończyć, bo Maggie jej przerwała:

- Poza tym dziś jest twój dzień. Nie powinno się samotnie kupować sukni ślubnej.

- Tak się składa, że już obejrzałam wszystko, co chciałam zobaczyć. Bola mnie nogi i, szczerze mówiąc, mam już tego dość.

- Ale może warto by jeszcze się rozejrzeć.

- Nie sędzę, bo i tak nam obu najbardziej się podobały te trzy sukienki, które widziałyśmy na początku. Postanowione: decyduję się na jedną z nich.

- Jesteś tego absolutnie pewna?

- Całkowicie. A potem będziesz mogła sprawdzić swego dzielnego partnera.

- Dziękuję, jesteś fantastyczna!- Uściskała Tristę.

- Wiem, ale zawsze miło to usłyszeć od ciebie.

Trista jeszcze przez godzinę nie umiała się zdecydować, która z tych trzech sukienek spełnia najlepiej jej marzenia. Powrót do domu zabrał im kolejną godzinę, potem minęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim Maggie dotarła do Joego. Po drodze obmyśliła plan działania. Nie chce się narzucać ani dać mu do zrozumienia, że w niego nie wierzy. Więc tylko wpadnie na chwilę, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. Zostanie tam pięć minut, najwyżej kwadrans.

Tuż przed piątą po południu zaparkowała przed jego domem. Nie chciała ryzykować obudzenia Breanny dzwonkiem do drzwi, więc cicho zapukała.

Ponieważ nikt nie odpowiadał, rozważała nawet, żeby pojechać do siebie, ale zwyciężył niepokój połączony z ciekawością. Joe pokazał jej, że w donicy przed domem leżą zapasowe klucze, więc bez problemów dostała się do środka. Dom sprawiał wrażenie pustego, choć panował w nim bałagan. Brudne naczynia nie mieściły się w zlewie, na stole kuchennym coś się rozlało, do oparcia krzeselka Breanny kleiły się resztki marchewki z groszkiem.

W pokoju było niewiele lepiej: na podłodze leżały rozrzucone zabawki i strzępy dzisiejszej gazety, na stoliku stał niedopity kubek kawy. Nie spodziewała się zastać tu porządku, ale na widok Joego, który drzemał w bujanym fotelu z Breanną w objęciach przykrytą polarowym kocykiem, ścisnęło się serce.

Gdyby miała przy sobie aparat fotograficzny, zdobyłaby najlepszy dowód świadczący o jego ojcowskim instynkcie. Wątpił w ten instynkt, ukrywał go, zaprzeczał jego istnieniu, ale na próżno. Tę stronę jego osobowości poznała Dee, a teraz odsłonił ją przed nią.

Ani jemu, ani Breannie chyba nie było wygodnie, więc Maggie ostrożnie wyjęła ją z jego objęć. Mała zaprotestowała, że ktoś ją podnosi, ale żadne z nich się nie obudziło, więc zaniosiła dziewczynkę do łóżeczka i przykryła kołderką.

Także Joe, zmęczony po nocnym dyżurze, nie poczuł, że go okryła kocem. Postanowiła cicho wymknąć się z domu, ale gdy była już w drzwiach, Joe poruszył się, po czym gwałtownie zerwał.

- Breanna? - powiedział ochryple.

- Leży w łóżeczku - Maggie odparła cicho.

Z poczuciem ulgi usiadł w fotelu. Z potarganymi włosami i podkrążonymi oczami, o dziwo, było mu bardzo do twarzy.

- Przez moment myślałem, że ją upuściłem.

- Po prostu uznałam, że będzie jej wygodniej u siebie.

- Dzięki. Już jesteś? - Przytomniał powoli.

- Trista znalazła suknię, więc wróciłyśmy do domu szybciej, niż myślałam. Postanowiłam zobaczyć, jak się miewacie, więc posłużyłam się zapasowym kluczem. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Ani trochę. - Uśmiechnął się radośnie. - Przeciwnie, bardzo się cieszę.

- Tęskniłeś za mną? - spytała żartem, ale poczuła miły dreszczyk.

- Bardziej, niż przypuszczasz. Prawdę mówiąc, odliczałem godziny do jutrzejszego ranka, kiedy się mieliśmy zobaczyć.

Te słowa były jak miód na jej serce.

- Mieliście kłopoty?

- Od czasu do czasu zdarzały się przeprawy.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś.

- Nie chciałem zwracać ci głowy. Dałbym znać, gdyby się działo coś poważnego. Na szczęście obyło się bez strat w ludziach...

- I sprzęcie - dokończyła z uśmiechem.

- No właśnie.

- Żadnych napadów złości?

- Nic wielkiego. Ogólnie rzecz biorąc, Breanna sprawowała się dobrze, chociaż brakowało jej ciebie.

Wbrew temu, że przyrzekła sobie zachowywać dystans, jego słowa sprawiły jej przyjemność.

- Nie wierzę, ona przecież prawie mnie nie zna.

- Mylisz się.

Zmęczona po całym dniu na nogach, przysiadła na oparciu kanapy.

- Opowiedz, coście dzisiaj robili.

- Nancy mówiła, że Breanna lubi bawić się w piasku, więc pojechaliliśmy kupić piaskownicę. Potem nie wychodziliśmy z niej przez parę godzin, później był lunch. Nawiasem mówiąc, ona nie cierpi marchewki z groszkiem.

- Widziałam tego ślady.

- Po jedzeniu chciała wracać do piaskownicy, choć kleiły się jej oczy. Przez parę godzin próbowałem ją przekonać do drzemki, ale bezskutecznie. Wreszcie dałem spokój, zostawiłem ją i siadłem przed telewizorem.

- A ona wdrapała ci się na kolana?

- Skąd wiesz? I jak się usadowiła, zmorzył ją sen. Nie chciałem jej ruszać, więc też się zdrzemnąłem.

- Błyskawicznie uczysz się różnych sztuczek. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Ciekaw jestem, dlaczego przy tobie albo Nancy ona jest taka słodka, a ze mną za nic nie chce się dogadać.

- Prawdopodobnie wyczuwa, że jesteś spięty, i chce to wykorzystać. Ale to się ułoży, zobaczysz.

- Maggie, oglądasz za dużo filmów. Większość trudnych sytuacji w życiu nie ma happy endu.

- Uwierz mi, że bardzo dużo zależy od nas.

- Być może. - Potarł skronie. - Chciałbym się dowiedzieć, co też Dee miała w zamyśle.

- Wciąż uważasz, że popełniła błąd, wybierając cię na opiekuna Breanny?

- Oczywiście, że tak. Nawet jeśli jestem jej ojcem, powinna pomyśleć o kimś innym.

- Ale tego nie zrobiła, więc musisz się z tym pogodzić. - Maggie nie chciała już tego ciągnąć.

- Rozmawiałem dzisiaj z prawnikiem. Jutro o jedenastej mam się zgłosić na badanie DNA.

Miała nadzieję, że zmieni zdanie, ale on najwyraźniej chciał podważyć wolę Dee.

- Jesteś pewien, że warto zrobić test?

- Muszę poznać prawdę. Wóz albo przewóz. Podczas gdy zwykle lepiej wszystko wiedzieć, obawiała się, że w tym przypadku ta wiedza może źle wpłynąć na jego relacje z dziewczynką.

- Czy to ma znaczenie? - spytała łagodnie.

- Dla mnie ma.

- Bywa, że lepiej nie znać całej prawdy. Kiedy Arthur oznajmił jej o powrocie do swej dawnej sympatii, wpadła w rozpacz. Była przekonana,

że czeka ich wspólna przyszłość, podczas gdy on, planował, że zejdzie się z dawną dziewczyną, z którą kontaktował się przez internet.

- Bywa, ale ten wynik pozwoli mi zrozumieć racje, jakimi kierowała się Dee.

Maggie przypuszczała, że ten upór ma podłoże w jego bolesnych przeżyciach z dzieciństwa, ale nie chciała drażnić tych spraw.

- Jeśli tak postanowiłeś, to trudno. Nie chcę tylko, żeby to się odbiło na Breannie.

- Nie odbije się, ale lepiej zmienmy temat. Dobrze, choć to trochę irytujące, mogą mówić o czymś innym. Zresztą na jego postawę może znajdą się środki zaradcze. Joe, rzecz jasna, potrzebuje moralnego wsparcia nie tylko z jej strony. Gdyby udzielili mu go koledzy z pracy, kto wie, może nabrałby optymizmu i nie byłby skłonny myśleć o zerwaniu obietnicy.

- Kapitan Keller prosił mnie, żeby go powiadomić, jeśli on albo któryś z chłopców może ci w czymkolwiek pomóc. Córka Shepa ma piętnaście lat i jestem pewna, że gdybyś chciał gdzieś wyjść wieczorem, z przyjemnością zajmie się Breanna.

- To smutne, że dziewczynka w tym wieku poradzi sobie z tym, co mnie samego przerasta.

- A kto mówi, że cię przerasta? Dotąd dawałeś sobie radę.

- Przez czysty przypadek.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Mój brat był równie przerażony jak ty, gdy w domu pojawiło się dziecko. Ale po tygodniu zajmował się małym, jakby to robił od zawsze.

- Skąd wiesz, że też temu podołam? - Spojrzał jej w oczy. - Nie wszyscy mężczyźni nadają się na ojców.



- Ale ty do nich nie należysz - odparła. – Przecież zawodowo ratujesz ludzkie życie. Pracuję z tobą od niedawna, ale zdążyłam się przekonać, że nie znosisz porażek. Moim zdaniem Breanna nie znajdzie lepszego opiekuna od ciebie.

- Jednak nie byłaś tego taka pewna, skoro dzwoniłaś, a potem wpadłaś, żeby sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku.

- Zrobiłam to z czystej ciekawości. - Nie chciała przyznać, że nie mogła się doczekać jutra, by go zobaczyć. - Partnerzy muszą się wspierać.

Zadowolona się tą półprawdą, ale on bacznie się jej przyglądał, nie dowierzając, że jest całkowicie szczerą. Czyżby chciała, żeby ją znów pocałował?

- Tylko dlatego?

- Nie tylko - burknęła. - Może to zabrzmie dziwnie, ale po prostu chciałam cię zobaczyć. I Breannę, rzecz jasna.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się, tłumiąc radość.

- Naprawdę - odrzekła krótko, zła, że zmusił ją, by przyznała, się do czegoś, czego nie chce przyznać przed samą sobą. - Widzę, że sytuacja jest pod kontrolą, więc na mnie pora. - Wstała z kanapy.

- Poczekaj, zostań na kolację.

- Lepiej już pójdę.

- Dlaczego? Nie będzie żadnych przysmaków, zrobię tylko steki na grillu. Nie lubię jadać samotnie.

Patrzył na nią z taką nadzieją, że nie miała serca mu odmówić. Zresztą niby po co? Żeby wrócić do pustego mieszkania i przez resztę wieczoru rozmyślać, co u nich? Zakładała, że zostanie tu najwyżej kwa-

drans, ale czy ma znaczenie dodatkowa godzina? Poza tym była głodna i też nie przepadała za kolacjami w samotności.

TLR

- Zgoda. Ty przyszykuj jedzenie, a ja w tym czasie obudzę Breannę.

- Po co? - Wyraźnie się skrzywił.

- Jeżeli będzie spała za długo, później nie uśnie.

- W takim razie ją obudź. Ale mam prośbę, jeśli będzie zła, że przerwałaś jej drzemkę, błagam cię, spraw, żeby nie myślała, że to z mojej winy. Chcę, żeby wiedziała, że to był twój pomysł, bo i tak ma do mnie mnóstwo pretensji.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem! - Roześmiała się na odcichodnym.

Gdyby to była prawda! Joe spoglądał na nią tęsknym wzrokiem. Jeśli uznał, że świetnie jej w dżinsach, to jej widok w krótkiej spódniczce khaki po prostu zapierał dech. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że ma tak zgrabne i pięknie opalone nogi. Miał coraz większą ochotę zakraść się za nią na palcach i zaciągnąć ją do sypialni. Oczami duszy widział ją na pościeli z zapraszająco rozchyłonymi ustami.

Do diabła! Nie może pozwolić sobie na takie marzenia. Przecież to jego partnerka, a nie jedna ze znajomych fanek sportu, z którymi w weekendy ogląda mecze w barze! Niestety, choć rozum kazał mu co innego, pragnął jej i nie umiał tego poskromić. Do tego jeszcze był niemal pewien, że ona też go pożąda.

W końcu zmusił się, by wyjść do ogródka i w przed wieczornym słońcu przygotować grill. Gdy zapalił zapałkę, zrozumiał, że jego pożądanie rozпалиło się jak płomień. Nie żył w celibacie, ale też nie był casanową, za jakiego uchodził wśród kolegów. Jeśli idzie o kobiety, był wybredny. Zwykle poprzestawał na flircie, a od czasu, kiedy poznał Maggie, żadnej ze znajomych kobiet nie mógł przypomnieć sobie z imienia. Nawet nie pamiętał ich twarzy. Ona je przyćmiła.

Jej uśmiech jest szczery, śmieje się z głębi serca, nigdy nie mówi rzeczy bez pokrycia, postępuje uczciwie i zgodnie ze swymi zasadami. Bardzo bystra i ofiarna, zawsze opowiada się po stronie słabszych i ma odwagę bronić swego stanowiska. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, pod wieloma względami przypomina mu Dee, ale to dopiero dzięki Maggie poczuł, że żyje.

I dlatego kiedy ją zobaczył po przebudzeniu, odniósł wrażenie, że życie sprawiło mu miłą niespodziankę. Czujemy się podobnie, gdy na naszym koncie bankowym odnajdujemy nieoczekiwaną wpłatę, która pozwoli nam na oddech w sprawach finansowych. Jej niezaplanowana wizyta przyniosła mu nie tylko ulgę, lecz także sprawiła przyjemność. Jeśli nawet dzisiejszy dzień był wcześniej znośny, czegoś w nim brakowało.

Liczył przecież godziny do jutrzejszego spotkania, przez cały czas walczył ze sobą, by do niej nie dzwonić. Teraz wszystko nabrało kolorów, i to nie dlatego, że został zwolniony z obowiązków, lecz właśnie ze względu na nią. Zrobi wszystko, by została po kolacji.

- Musisz zobaczyć, jak Breanna bawi się w piaskownicy. Fascynują ją ziarenka piasku między paluszkami stóp.

Maggie roześmiała się wesoło.

- Przyznaj się, chcesz, żebym wyciągnęła ją stamtąd, kiedy przyjdzie pora kąpieli.

- Uważasz, że chcę to zwalić na ciebie?

- Otóż to.

- No dobra, przyrzekam, że nie będę cię o to prosił.

- Doceniam twoją szlachetność, ale naprawdę muszę już iść.

- Czy może być większa przyjemność, niż przy śpiewie ptaków oglądać w ogrodzie zachód słońca? - Za wszelką cenę chciał ją namówić, by nie odchodziła.

- Cały dzień byłam poza domem, muszę trochę posprzątać i zrobić pranie.

- Robota nie zajęć. To może poczekać do jutra. Maggie wyraźnie się zawahała.

- Proszę cię - nie dawał za wygraną. - Trzeba doceniać miłe chwile.

- Właściwie to masz rację - przyznała z lekkim uśmiechem.

TLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

Joe Donatelli był wczoraj jak do rany przyłóż, pomyślała Maggie, porządkując kuchnię przed jego . poranną wizytą. Gdy ją ogarniało łakomstwo na jakiś smakołyk, umiała jednak nad tym panować ze względu na linię. Tak samo powinna sobie dawkować słodkiego jak miód kolegę. Joe w nadmiarze może zaszkodzić.

Wczoraj nie była w stanie się oprzeć. Nie starczyło jej sił. Choć zdawała sobie sprawę z ryzyka związanego z nadmierną pobłażliwością dla siebie, nie po-trafiła się zmusić do wyjścia po kolacji.

Gdy Joe kładł do łóżka i usypiał Breannę, zmyła naczynia. Potem złapała się na tym, że skądś już to zna.

Ale sytuacja z Joem to co innego, powtórzyła sobie. Tu nie będzie żadnych przykrych niespodzianek, ponieważ niczego sobie nie przyrzekali. Za parę tygodni, gdy będzie sobie świetnie radził z córeczką, ona odejdzie z lekkim sercem. Bez niepotrzebnych emocji, oprócz miłego poczucia dobrze spełnionego obowiązku.

Tak, przemyślała to wszystko i wie, że panuje nad sytuacją. Dzięki temu może swobodnie cieszyć się i wspólnie spędzonymi chwilami z Joem i dzieckiem, po których pozostaną dla niej tylko miłe wspomnienia.

Gdy zerknęła przez okno, jej serce zabiło szybciej na widok mężczyzny, który zaprzętał jej myśli, z Breanną na ręku i torbą pampersów na ramieniu. Joe pochylił się, by mała nacisnęła dzwonek.

- Jesteście gotowi na przyjemności? - Gdy powitała ich w progu, Breanna wyciągnęła do niej rączki. - Mam nadzieję, że zabrałeś jej ubranie na zmianę? Jeśli nie, zapiaszczy nam cały dom.

Joe podał jej małą, po czym klepnął się w czoło:

- Zapomniałem na śmierć, ale mam pieluchy i jedzenie.

- To najważniejsze - próbowała go pocieszyć. - Naniesionym piaskiem będziemy się później martwić.

- Mam skoczyć po ubranka?

- Nie trzeba. Zresztą najpierw pojedźmy do sklepu. Muszę zainstalować nowy wentylator w sypialni, bo stary strasznie hałasuje. W weekend przyjdzie mój tata i mi go wymieni.

- Może nie jestem zawodowym elektrykiem, ale to mogę zrobić. Wyręcę go z przyjemnością. To znacz- nie łatwiejsze niż matkowanie malutkiej.

- Cudownie - powiedziała. - Bardzo kocham tatusia i doceniam wszystko, co robi, ale muszę przyznać, że w takich sprawach nie jest najzręczniejszy. Często sobie nie radzi, więc i tak muszę prosić kogoś o pomoc, żeby po nim skończył.

Joe uśmiechnął się zadowolony, że nie tylko będzie miał okazję jej się odwdzińczyć, ale wreszcie zrobi coś, na czym się zna. Po kompromitacji z ubrankami na zmianę może zrehabilituje się jako złota rączka.

- A więc w drogę - rzekł z entuzjazmem. - Wracając, zatrzymamy się u mnie po narzędzia.

Załatwili wszystko w godzinę, a gdy Joe włączył stary wiatrak zawieszony pod sufitem, rozległ się hałas, który bardzo rozśmieszył Breannę.

- Mówiłam, że to ustrojstwo może obudzić umarłego.

- Ona ma rację, maleńka. - Gdy w odpowiedzi Breanna wyciągnęła do niego rączki, dodał: - Ale ty, dziecinko, będziesz musiała chwilę poczekać, bo najpierw zestrzelimy ten zepsuty helikopter.

Przy robocie powoli odzyskiwał poczucie własnej wartości. Przedmioty mechaniczne są znacznie łatwiejsze w obsłudze niż małe dzieci. Nie robią psikusów, a jeśli popełni się jakiś błąd, zawsze go można naprawić.

Dziecko, w odróżnieniu od sprzętu elektrycznego, nie działa w sposób przewidywalny, nie ma do niego instrukcji i łatwo je zepsuć. I chociaż poczucie odpowiedzialności za nie przytłacza, nie wolno mu wycofać się z danego słowa.

Po dwudziestu minutach chciał odebrać Breannie dłutko, które wyciągnęła mu ze skrzynki, dając jej w zamian drewnianą łyżkę. Gdy malutka roześmiała się wesoło, myśląc, że to zabawa, uświadomił sobie jak ogromne zrobiła postępy. Pierwszego dnia, kurczowo trzymając pluszowego misia, patrzyła na nowe otoczenie oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

Dziś swojego króliczka porzuciła na łóżku Maggie, by śmiało najpierw eksplorować jej szafy, a potem sięgnąć do szuflad w komodzie. Bardzo jej się też spodobała zawartość skrzynki na narzędzia, więc próbowała ją wysypać na podłogę.

Korzystne zmiany nastąpiły nie tylko dlatego, że wraz z upływem czasu dziewczynka zaczęła się przyzwyczajać do nowego otoczenia. Jego zdaniem, najważniejszą rolę odegrała w tym Maggie. Jej uśmiech, łagodny głos, delikatny dotyk działał kojąco nie tylko na Breannę, lecz także na niego.

Joe uzmysłowił sobie również, że ilekroć oferował jakąś pomoc swym zastępczym rodzicom, tym albo innym, zawsze odnosił wrażenie, że jest intruzem, który niepotrzebnie wtrąca się w cudze sprawy. A dziś, u Maggie, mając przy sobie małą, poczuł, co to znaczy bliskość i więź międzyludzka.

Lubił i cenił koleżeńskie stosunki w pracy, ale to poczucie przynależności było silniejsze i miało charakter osobisty. Chciał także,



by stało się czymś trwałym. Wobec tego musi przekonać Maggie, by została przy nich dłużej niż tylko miesiąc. Zważywszy, że najwyraźniej ma bzika na punkcie Breanny, może to nie będzie zbyt trudne. Prawdopodobnie zaangażowała się emocjonalnie znacznie bardziej, niż zamierzała.

- Zrobione - oznajmił radośnie, włączając wiatrak i biorąc małą na rękę. Dziewczynka z zachwytem patrzyła, jak ramiona pod sufitem poruszają się cicho, a chłodny powiew muska jej włoski.

- Dzięki, Joe. - Uszczęśliwiona Maggie wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Nie wiem, jak ci dziękować.

Ale on wiedział. Objął ją w tali i przyciągnął ku sobie. Kiedy ją pocałował, cicho westchnęła, a on poczuł delikatny miodowy zapach i smak jej ust. Przytulił ją mocniej, a ona lekko rozchyliła wargi. Ogarnęła go nieprzeparta chęć, by się z nią złączyć, by cienkie ubrania, które mają na sobie, ich nie oddzielały.

Jego dłoń pieściła jej plecy i wędrowała wzdłuż kręgosłupa, wywołując w niej dreszcz. Otwartą dłoń położyła mu na ramieniu, jej delikatny dotyk czuł niemal na wskroś. Bardzo jej pragnął, mógłby ją pieścić godzinami.

Nagły krzyk Breanny skutecznie przytłumił ten płomień pożądania, ale żaru nie zdusił do końca. Maggie też poraził, zauważył z satysfakcją.

- Za takie podziękowania gotów jestem na wszystko. Może trzeba coś jeszcze naprawić?

Zarumieniona, cofnęła się o pół kroku.

- Jakoś nic w tej chwili mi nie przychodzi do głowy.

- Wielka szkoda - westchnął. - Ale jak przyjdzie, daj mi od razu znać.

- Naprawdę?

Był tego całkowicie pewien.

- Tak. Za pocałunek zrobię dla ciebie wszystko. W tym momencie Breanna pociągnęła go za nogawkę, chcąc najwyraźniej, by ją wziął na rękę.

- Też byś chciała, żeby ci coś zreperować?

Dziewczynka zaszczębiotała radośnie w odpowiedzi.

- Widzę, że obydwoje zrobiliście ogromne postępy - uśmiechnęła się Maggie.

- Nie jestem pewien. Czuję się jak stojący na starcie koń wyścigowy, kiedy inne już są w połowie toru.

- I ty, i ona bardzo się zmieniliście. Jeśli mam zgadywać, to myślę, że najważniejsza zmiana zaszła po tym, jak ona zdrzemnęła się na twoich rękach. Bo wiesz, jak dziewczynka się z kimś prześpi, to inaczej patrzy na faceta.

Bardzo chciałby sprawdzić tę teorię na Maggie.

- Być może, ale ja wolę trochę starsze partnerki do łóżka. O jakieś dwadzieścia siedem lat.

- Miło mi to słyszeć - zarumieniła się lekko – ale Breanna zaczęła ci ufać.

- Obyś miała rację. - Przynajmniej tyle chciałby osiągnąć, bo wie z doświadczenia, że gdy się straci zaufanie do ludzi, niemal nie sposób go odbudować.

Breanna wyśliznęła się z jego ramion i chwiejnie podeszła do Maggie. Serce zabiło mu mocno, gdy ta ze śmiechem złapała dziewczynkę, przytuliła ją i czule pogłaskała po główce.

Takie spontaniczne reakcje zaobserwował u swych zastępczych matek wobec ich dzieci. Sam tego nie doświadczył, ale wiedział, że tak

przejawia się miłość do dziecka. Może się to wydać dziwne, ale poczuł ukłucie zazdrości o własną córeczkę.

- Myślę, że ona też ufa pewnej pani - zauważył, siląc się na wesołość.

Maggie posadziła Breannę na podłodze, a ona natychmiast poraczkowała w stronę torby z narzędziami.

- Może i tak - przyznała, wyprostowując się – ale to ty jesteś najważniejszą osobą w jej życiu. Ty, w odróżnieniu ode mnie, będziesz przy niej stale.

- Przecież ty też jesteś przy niej.

- Być może, ale ona nie powinna zbyt do mnie przywiązywać - odrzekła po chwili namysłu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ja będę z nią krótko, żeby nauczyć cię, jak być dla niej ojcem. Potem zniknę z jej życia.

Jej słowa zaniepokoiły go.

- Całkowicie?

- Może nie, ale nie będę jej widywać na co dzień.

- Nie wierzę. Przeciwnie, uważam, że nie będziesz umiała się bez niej obejść.

- Słucham? - Maggie uniosła brwi.

- Nie będziesz w stanie, bo ją kochasz.

Dopiero gdy głośno wypowiedział te słowa, zrozumiał, że stawia ją w trudnej sytuacji. Widział, że Maggie darzy dziewczynkę uczuciem, ale dotąd nie zdawał sobie sprawy z jego głębi. Mimo że nie wykluczała, że

on może się zrzec opieki nad dzieckiem, a więc jej także grozi jego utrata, nie zdołała się oprzeć miłości do Breanny.

I na tym polegała różnica między nimi. On chronił się z lęku przed zranieniem, bo obawiał się najgorszego. Maggie, choć nie wiedziała, jak rozwiąże się sprawa, oddała całą siebie, bo miała nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Nagle poczuł się winny. Mimo że przecież nie chciał jej skrzywdzić, naraził ją na ryzyko, że to się nie rozwiąże pomyślnie.

- Joe, nie bądź śmieszny - powiedziała chłodno. Nawet jeśli zlekceważy jego słowa albo będzie temu próbowała zaprzeczyć, on nie ustąpi, bo wie, że ma rację.

- Gdyby było inaczej, nie wpadłabyś wczoraj, żeby sprawdzić, jak sobie radzimy. Nie martwiłabyś się o nas przez cały dzień.

- Zgoda, wpadłam, bo się niepokoiłam. Ale to niczego nie musi oznaczać.

- Tylko tak mówisz.

- Tak mówię. Miałam nadzieję, że idzie wam gładko, ale się martwiłam. Bo gdybyście mieli kłopoty...

Milczał, żeby mogła dokończyć.

- Mówiłeś, że przemyślisz sprawę, jak dostaniesz wynik testu na ojcostwo. Nie chciałam i nie chcę, żebyś się poddał wcześniej.

To, że po zranieniu w poprzednim związku boi się cierpienia i dlatego zaprzecza własnym uczuciom, jest oczywiste. On postępuje podobnie. Ale zdziwiło go i trochę zabolalo, że Maggie wątpi w niego.

- Naprawdę myślisz, że nie dotrzymałbym słowa?

- Nie! - Jej pełna przekonania odpowiedź podniosła go trochę na duchu. - Po prostu nie chciałam, żebyś przeżywał wahania. Człowiek wyczerpany łatwiej się poddaje. Kto wie, czybyś sobie czegoś nie wmówił.

- Masz rację - przyznał. - Więc gdybym postanowił zrezygnować, uznałabyś, że to niesłuszna decyzja?

- Oczywiście, bo przecież Breanna cię potrzebuje - odparła ze zniecierpliwieniem. - A poza tym, ten Joe Donatelli, którego zdążyłam poznać, nie ucieka przed trudnymi sytuacjami. Pytanie, czy ty też go znasz?

- Spotkałem go może ze dwa razy w życiu. Ale będę z tobą szczery, kilka razy przyszło mi na myśl, żeby się wycofać. - Myślał o tym dlatego, że nie wierzył, by po smutnych doświadczeniach z dzieciństwa mógł być dobrym materiałem na ojca, nawet jeśli Breanna jest jego córką. A to się dopiero okaże.

- No i co? - dopytywała się.

- Przysięgam ci, że nie zrezygnuję tylko dlatego, że miałem trudny dzień albo bezseną noc. W najbliższych tygodniach muszę się przekonać, czy się nadaję na ojca pod warunkiem, że ona jest moim dzieckiem. Ale w pracy przekonaliśmy się, o czym wiesz równie dobrze

jak ja, że ojcowie biologiczni także potrafią być źli. Dlatego właśnie liczę, że nas nie zostawisz.

- Ustaliliśmy...

- Że nas nie zostawisz - powtórzył. - Jeśli badanie potwierdzi, że jestem ojcem, chciałbym czuć się bezpiecznie dłużej niż przez miesiąc.

Nie poruszył tego, co się stanie, gdyby się okazało, że Breanna nie jest jego córeczką, a on będzie miał dylemat moralny związany z obietnicą, którą złożył Dee.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że niczego nie zrobisz pochopnie - odparła, zagryzając wargę. - Nie chcę niespodzianek, nie chcę dowiedzieć się któregoś dnia, że wszystko się zmieniło, bo pod wpływem chwili podjąłeś jakąś decyzję.

- Co masz na myśli? - spytał zdziwiony.

- Na przykład możesz się przeprowadzić albo związać się z jakąś kobietą. Jest wiele możliwości.

- Niczego nie zrobię bez porozumienia z tobą. Nie zdawał sobie sprawy, jakie to dla niej ważne. Jej oczy rozblęły.

- Dziękuję, Joe... dziękuję - dokończyła łamiącym się głosem, po czym szybko wyszła z pokoju.

Uśmiechnął się, bo od czasu, kiedy Breanna pojawiła się w jego życiu, po raz pierwszy poczuł, że wreszcie postępuje właściwie.

„Bo ją kochasz”. Jego słowa nie dawały jej spokoju, w czasie kolacji, przy kąpieli małej, kiedy na dobranoc opowiadała jej bajkę i układała do snu.

Po prostu dotąd nie chciała przyznać, że Joe ma rację, i robiła wszystko, by nie zaangażować się emocjonalnie. Nie wolno pozwolić sobie na głębokie uczucie, powtarzała sobie w duchu. Przekonywała samą siebie, że Breanna jest jej bliska tak samo jak dzieci jej braci. Ale nic ponadto.

Jednak już wczoraj wieczorem, gdy wróciła do siebie, uświadomiła sobie, że kocha małą. A teraz Joe to potwierdził. Równie trudno było jej przyznać przed sobą, że zakochała się także w nim. Broniła się przed tym, ale im więcej czasu spędzali wspólnie, tym trudniej przychodziło jej myśleć o nim jako o potrzebującym pomocy przyjacielu i koledze.

Może byłoby inaczej, gdyby tak się nie starał, żeby wszystko robić jak najlepiej, gdyby był większym egoistą. Gdyby bezradnie rozłożył ręce i poddał się łatwo. Ale on nie myślał o sobie, więc nie chciał rezygnować. I dlatego zdobył jej szacunek, podziw i to, czego najbardziej się obawiała - miłość.

Nie powinna sobie na to pozwolić, bo ta miłość wiąże się z ogromnym ryzykiem. A Maggie bała się bólu i wiedziała, że tym razem cierpiałyby jeszcze bardziej niż po rozstaniu z Arthurem. Bo szczerze mówiąc, jego synowie byli jej znacznie drożsi niż ich ojciec. To, co czuje wobec Joego, jest o wiele silniejsze niż jej uczucia do Arthura. Ale mimo wszystko nie będzie sobie wmawiać, że Joe odwzajemnia jej uczucia. To prawda, iskry, jakie tworzą się między nimi, mogłyby podpalić las, ale nie wolno jej, jak kiedyś, mylić pożądania z miłością. Nie pozwoli sobie na to pod żadnym pozorem.

I jeśli teraz nie może doczekać się jutrzejszego ranka, kiedy pojedzie do pracy, to tylko dlatego, że kocha swoje zajęcie. To, że zobaczy tam Joego, nie ma większego znaczenia...

- Donatelli, Randall! – zawołał Harry, odrywając ich od rutynowego przeglądu karetki po rozpoczęciu dyżuru. - Przypominam, o siódmej wieczorem przychodzą harcerze.

Zapomniałam o tym na śmierć, pomyślała Maggie

- Harcerze? - spytał Joe po odejściu Harry'ego.

- Parę dni temu kapitan prosił, żeby opowiedzieć im o podstawach pierwszej pomocy. Obiecałam, że to zrobimy, ale potem wyleciało mi to kompletnie z głowy.

- Ile oni mają lat?

- Około dwunastu i więcej.

- Miałaś już do czynienia z harcerzami? – uśmiechnął się kpiąco.

- Raz pokazywałam karetkę dzieciakom z podstawówki. Czy to znaczy, że mam doświadczenie?

- Chyba nie bardzo. - Joe potrząsnął głową. - Harcerze pewnie zdobywają sprawność ratownika, więc będą chcieli się nauczyć podstaw pierwszej pomocy. To trochę co innego niż oglądanie karetki.

- Szkoliłeś już kiedyś harcerzy?

- Pomogłem kilku chłopcom zdobyć tę sprawność - przyznał. - Te- go się nie da zrobić za jednym razem

- Sam widzisz, jestem w tych sprawach nowicjuską, więc zdaję się na ciebie. Musisz mi tylko powiedzieć, co mam robić.

Maggie była zdumiona, że Joe tak poważnie potraktował tę sprawę. Dowiedział się od kapitana, że instruktor, który uczy harcerzy pierwszej pomocy, niedawno przeszedł poważną operację serca, a oni mają go zastąpić. Choć Joe dowiedział się o tym niemal bez wyprzedzenia, na podstawie harcerskiej strony internetowej zaplanował kilkutygodniowe zajęcia i przy- dzielił jej kilka tematów.



Punktualnie o siódmej zjawilo się sześciu kilkunastolatków w mundurkach, szczęśliwych, jak powiedział jeden z nich, że ratownictwa będą się uczyć u „profesjonalistów”. Maggie nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, jak Joe radzi sobie z chłopcami w tym wieku.

Poszło mu dobrze. Lepiej niż dobrze - świetnie. Powitał ich ciepło, traktował z szacunkiem. Jego pełnej humoru, ale potraktowanej poważnie pogadanki słuchali z uwagą. Żaden z nich nie wiercił się ani nie rozpraszał.

- Czy któryś z was wie, co to jest segregacja? Rękę podniósł jasnowłosy, wysoki chłopiec, z wyglądu intelektualista.

- To system dzielenia rannych w zależności od stopnia poszkodowania, po to żeby najciężej dotknięci otrzymali pomoc jako pierwsi.

- Świetnie. A który z was słyszał o standardowych środkach ostrożności?

- Trzeba je podejmować zawsze przy kontakcie z krwią, zakładając, że pacjent jest nosicielem HIV albo żółtaczkę - odpowiedział ten sam chłopiec.

- Bardzo dobrze.

- Tim wszystko wie, bo jego tata jest lekarzem - powiedział jego kolega.

- Ale teraz wszyscy już znacie te terminy.

Gdy rozpoczęła się dyskusja o patogenach krwiopochodnych, Joe znalazł się w swoim żywiole. Maggie stwierdziła, że ratownictwo stanowi dla niego sens życia. Teraz musi go przekonać, że ojcowanie Breannie, niezależnie od tego, czy mała jest jego córką, może być źródłem nie mniejszej satysfakcji.

- Kto z was ma w domu apteczkę?

Kiedy Tim znów podniósł rękę, jego koledzy popatrzyli na niego z zazdrością.

- Co, według was, powinno się w niej znajdować?-

- Bandaże.

- Wata.

- Alkohol. - Oczy wszystkich zwróciły się ku temu, który to powiedział, i szczupły blondyn o jasnej cerze zrobił się czerwony jak burak. - Nie do picia^ Idzie mi o alkohol do dezynfekcji, jak w gabinecie lekarskim przed zastrzykiem.

- Czyli spirytus salicyłowy - wyjaśnił Joe. - Świetnie. Wiecie, że kiedyś używano do tego whisky?

- Myślałem, że pojono nią ludzi, żeby ich zniczulić - powiedział niski brunet.

- Ale tylko przed operacją. Inaczej nie można było pokroić chorego - dorzucił jego kolega.

Gdy w grupie wywiązała się ożywiona wymiana zdań, jaki alkohol jest w tym celu najlepszy, Joe spojrzał porozumiewawczo na Maggie, która, kryjąc uśmiech, pokazała mu na migi, że pora przerwać tę dyskusję. Zdażył tylko unieść rękę, by uciszyć chłopców, gdy dyspozytor oznajmił przez głośniki:

- Przy Fairfield Road 1215 mężczyzna stracił przytomność; prawdopodobieństwo udaru.

Maggie przypomniała sobie od razu, że pod tym adresem jest obskurny hotel, którego klientela wynajmuje pokoje na tydzień, dobę albo na godziny. Pobiegła do szatni po bluzy od ich kombinezonów, a Joe w tym czasie pośpiesznie zakończył zajęcia.

- Bardzo wam dziękuję. Na następne spotkanie przynieście, proszę, apteczkę pierwszej pomocy. Do zobaczenia za tydzień.

Zafascynowani chłopcy patrzyli, jak ich wykładowcy w biegu zakładają bluzy, wskakują do karetki, po czym z włączonym kogutem i syreną wyruszają w drogę.

- Niezła była ta dyskusja o trunkach i medycynie - powiedziała Maggie w karetce. - Kto by pomyślał, że tacy z nich koneserzy alkoholi.

- To normalne w tym wieku. Operacje bez narkozy i środków znieczulających są dla nich ciekawsze niż byle zastrzyk.

- Zawsze mam przy sobie środki przeciwbólowe.

- Ja też. Jesteśmy na miejscu. - Joe pokazał radiowóz policyjny zaparkowany przed hotelem.

- Trzecie piętro, drugi pokój na lewo, winda nie działa – rzucił zarośnięty recepcjonista.

- W takim razie od razu skoczę do karetki po nosze Joe mruknął pod nosem.

Gdy wrócił z nimi po minucie, Maggie powiesiła sobie na ramieniu torbę z zestawem do pierwszej pomocy, drugą zostawiając dla niego.

- Gotowi? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi na schody ewakuacyjne.

Ale zanim zaczęli się wspinać, Joe klepnął ją w ramię.

- Ja prowadzę.

- Niby dlaczego? - spytała zirytowana jego władcym tonem.

- Idziesz za mną - rzucił, po czym ruszył na górę.

- Niby dlaczego? - powtórzyła zdenerwowana. - Przecież jesteśmy równi. Nie możesz łamać tej zasady, bo coś ci strzeliło do głowy.

- Jak chcesz, możesz mnie pozwać do sądu. Co tutaj cuchnie? - Skrzywił się z obrzydzeniem.

Zapach zepsutej żywności zmieszany z odorem moczu zapierał dech.

- Wolę tego nie wiedzieć - odpowiedziała.

Joe spojrział na nią przez ramię.

- Ten smród trudniej znieść niż drapanie się na górę ze sprzętem.

- Rzeczywiście powala - przyznała, zadowolona, że ma na sobie solidne buty. Sądząc po odgłosach, licho wie, co się gnieździ na tych ciemnych schodach. Miała nadzieję, że to myszy, a nie szczury.

- Tutaj. - Stojący w korytarzu na trzecim piętrze policjant Derek Pruett pokazał im drzwi.

Joe, rzecz jasna, ruszył pierwszy. Maggie uznała, że porozmawia z nim o tym po zakończeniu akcji. Tym- czasem stało się jasne, dlaczego Pruett czekał na korytarzu: smród, jaki po otwarciu drzwi uderzył z pokoju, niemal zbił ich z nóg.

- Co się stało? - Joe zwrócił się do drugiego policjanta, Thomasa Kroma, który stał nad leżącym mężczyzną.

- Recepcjonista powiedział, że Martin Kazinsky jest samotny i ma jakieś czterdzieści pięć lat. Gdy na dworze robi się zimno, zatrzymuje się tutaj od czasu do czasu na kilka dni. To jego pierwszy atak.

- Kto go dziś znalazł?

- Nikt nie chce się do tego przyznać - odparł Pruett stojąc w otwartych drzwiach na korytarz. – Pewnie dlatego, że goście w tym eleganckim przybytku są zwykle na bakier z prawem.

- Oddech w normie - rzekła Maggie, łapiąc powietrze ustami, by nie wachać odoru. - Tętno prawidłowe. Wygląda na niedożywionego. W kącie stoją butelki po whisky. Pewnie jest alkoholikiem.

Pruett wsunął głowę do środka.

- Na dole doszło do awantury, musimy z kolegą interweniować. To nie potrwa długo. Dacie sobie radę we dwójkę?

- Jasne - odparł Joe, podczas gdy Maggie pochyliła się nad uchem chorego.

- Panie Kazinsky - powiedziała głośno. - Martin? Jesteśmy ratownikami medycznymi ze straży pożarnej. Czy pan mnie słyszy? Panie Kazinsky?

Chory nagle dostał odruchów spastycznych.

- Uważaj na jego drogi oddechowe - zawołał Joe. Po minucie atak minął, ale chorego nie dało się

ocucić. Joe zaczął przygotowywać kroplówkę.

- Dostanie sól fizjologiczną, a ty podaj mu tlen. Maggie, która błyskawicznie założyła Martinowi maskę dostarczającą tlen o najwyższym stężeniu, dostrzegła niepokojące zgrubienie na jego potylicy.

- Popatrz, dziwnie to wygląda. Trudno powiedzieć, czy to guz, czy ma taką budowę czaszki. Zaraz sprawdzę. - Oświetliła latarką tył głowy pacjenta. - Nie, z całą pewnością to jest krwiak.

- Albo dostał ataku, upadł i się uderzył, albo atak nastąpił wskutek uderzenia. To już rozstrzygną lekarze.

Maggie bez słowa zmieszała witaminę B1 i dextrozę, Joe w tym czasie podłączył choremu kroplówkę.

Chwilę później leżący znowu dostał ataku spastycznego.

- Postaram się znaleźć jakiś sposób na te powtarzające się konwulsje  
- rzuciła Maggie.

- Spróbuj - zgodził się Joe.

Sięgnęła do apteczki i przygotowała mieszankę środka rozkurczowego z antykonwulsyjnym. Gdy Joe podał go dożylnie choremu, atak ustąpił, ale z w dalszym ciągu nie można było z nim nawiązać kontaktu.

- Trzeba go zawieźć do szpitala - oznajmił Joe. Ułożyli chorego na noszach, Maggie zabezpieczyła go pasami, a jej partner skontaktował się przez radio z dyspozytorem, by wezwał policjantów z dołu. Jednak po chwili okazało się, że Pruett i Krom nie skończyli interwencji.

- Nie wiadomo, ile to potrwa, więc musimy znieść go sami.

- Trudno, nie ma wyboru.

- Poprosiłbym cię, żebyś najpierw zniosła na dół nasze rzeczy, ale nie powinniśmy się rozdzielać. Nie możemy też zostawić tutaj toreb. To zbyt ryzykowne.

- Całkowicie się zgadzam.

Joe spojrzał na nią.

- Dasz radę znieść torbę i pomóc mi z noszami?

Czy to nie jest oczywiste? Przecież regularnie ćwiczysz i jesteś w formie.

- Jasne, że tak.

Zawiesili sobie torby na ramionach, lecz w tym momencie, jak na dany znak, w pokoju pojawili się nieproszeni goście. Drogę do drzwi zatarasowało im trzech zbirów obwieszonych łańcuchami, ubranych w skóry.

- No, no, niezła sztuka. - Typ o fioletowo-zielonych włosach patrzył na Maggie z krzywym uśmiechem. - Jak Boga kocham, naprawdę słodka.

Chociaż w jej głowie zapaliło się ostrzegawcze światło, nie zamierzała dać się sterroryzować.

- Proszę zrobić nam przejście. Ten człowiek potrzebuje lekarza.

Zrobiła dwa kroki w stronę noszy, ale drugi z intruzów zagroził jej drogę. Włosy ściągnięte w ogon, kolczyki w powiekach, dolna warga przebita kółkiem, straszliwie nieświeży oddech. Sądząc po przekrwionych oczach i pociąganiu nosem, najwyraźniej bierze kokainę, a więc jest kompletnie nieprzewidywalny. Nie wolno jej zrobić fałszywego kroku ani panikować.

- Zejdźcie z drogi, musimy przejść – powiedział Joe stanowczo.

- Kurczę, słyszycie, chłopaki? - uśmiechnął się szyderczo ten z fioletowymi włosami. - Oni muszą przejść.

- Mówimy wyraźnie, macie zrobić przejście. - Maggie nie okazywała niepokoju, choć sytuacja bardzo jej się nie podobała.

- Chwila, moment, siostró. - Trzeci z nich, z tatuażami na dłoniach i przedramionach stanął między nią a Joem. - Chwila moment. A co to się stało dziadkowi?

- Miał atak - odpowiedziała krótko, gdy dwaj pozostali otoczyli Joego. Przyływ strachu nie obezwładnił jej, lecz przeciwnie, zmobilizował i dodał sił.

- On nam wisi z kasą - powiedział typ z przebitymi powiekami.

- Odda wam później.

Facet z tatuażami przygwoździł ją do ściany.

- Nie ma mowy. - Położył jej palec na policzku.

Maggie zebrała się w sobie, by nie zadrzeć ze strachu.

- Zostaw ją - warknął Joe.

- Nie ma mowy - powtórzył. - Masz jakąś kasę, siostrzo?

- Nie mam i nie jestem pana siostrą.

- Ale numer. - W krzywym uśmiechu odsłonił żółte zęby. - Nie masz kasy, to będziesz musiała pocieszyć mnie inaczej. Założę się, że nosisz skarby w tej torbie. Chyba wiesz, o czym mówię.

On chce dostać lekarstwa!

- Przykro mi, ale ma pan pecha. - Chwyła za rączkę torbę przewieszoną przez ramię.

- Mylisz się, siostrzo. - Zaczął się z nią szamotać. Po kilku błyskawicznie wymierzonych kopniakach w czułe miejsce facet zwijał się z bólu. Jednocześnie dobiegł ją krzyk Joego i odgłosy bójki. Gdy pomyślała, że już jest po nich, do pokoju wpadli Pruett i Krom.

Zanim facet z tatuażem rzucił się do ucieczki, popchnął ją, powalając na ziemię.

- Maggie? Nic ci się nie stało? - Przestraszony Joe kucnął przy niej.

Choć została mocno poturbowana, a najbardziej bolało ją biodro, czuła, że nie stało się nic poważnego.

- Wszystko w porządku - odparła. - A co z tobą?

- Też nic wielkiego.

Po krótkiej szamotaninie na korytarzu policjanci zdołali powalić dwóch napastników na ziemię. Obezwładnieni leżeli na brzuchu, klnąc niemiłosiernie. Maggie przez lata pracy stykała się z przeróżnymi ludźmi i miała niejedną przygodę, ale takich wiązańek jeszcze nie słyszała.



- Dobrze, że nie dałam sobie wydrzeć torby.

- Niech to diabli, Maggie! - Jego oczy rozbłysły złością. - Nie powinnaś z nim walczyć. Mógł ci zrobić krzywdę.

- Wyobrażasz sobie, co by się stało z lekarstwami? Sprzedaliby je ulicznym dilerom, a potem rozprowadziliby na lewo i prawo, jak je zdobyli. Skoro raz się udało, tacy jak oni zaczęliby napadać na ratowników. Nie wolno dać się sterroryzować.

- Ale nie można ryzykować zdrowiem.

- Już po wszystkim, Joe. Lepiej pomóż mi wstać. Chwycił ją pod łokciami i z całej siły podciągnął do góry. W pozycji stojącej poczuła gwałtowny ból biodra, zachwiała się w jego stronę, po czym oparła się o niego całym ciałem. Dobrze, że nie pozwolił mi upaść, pomyślała z ulgą.

- Może lepiej usiądź?

- Ciekawe gdzie? - Rozejrzała się z odrazą. - Daj mi chwilę. Jak rozruszam staw biodrowy, będę mogła chodzić.

Policjanci skuli kajdankami zatrzymanych i kazali im wstać.

- Wezwiemy patrol, żeby zabrał tych dżentelmenów na posterunek. Jak się ich pozbędziemy, wrócimy na górę, żeby wam pomóc - powiedział Pruett. - Albo, jeśli dacie radę sami go znieść - pokazał chorego na noszach - idźcie na dół za nami.

- Zniesiemy go - powiedziała Maggie.

- Poczekamy na was - równocześnie odparł Joe.

- Najważniejsze jest dobro pacjenta - dodała. - Nie będziemy czekać. Ruszymy za wami, bo straciliśmy dużo czasu. Na pewno sobie poradzimy.

Dokuczał jej ból biodra i czuła, jak tam rośnie ogromny krwiak. Wiedząc, że dolegliwość nie ustąpi, lecz przeciwnie, będzie się nasilać, chciała ruszyć jak najszybciej, póki jeszcze adrenalina tłumi ból.

- A więc spróbujcie - wtrącił się Krom. – Jeśli pozbędziemy się tych dwóch, a was jeszcze nie będzie na dole, przyjdziemy wam pomóc.

- Dobry pomysł - Maggie odparła z ulgą, ale Joe ściągnął brwi.

- Nie powinnaś znosić żadnych ciężarów, a tym bardziej nieprzytomnego człowieka. Co by było, gdybyś...

- Dam radę, wiem, co mówię - przerwała mu. - Przecież Martin nie jest grubasem, a ja nie będę go dźwigać sama. W jego stanie nie powinien czekać, trzeba go szybko odwieźć do szpitala. Uwierz mi ciągnęła, bo Joe wciąż nie sprawiał wrażenia przekonanego. - Znam siebie i jestem pewna, że dam radę.

- Skoro nalegasz, ruszajmy. - Joe dał za wygraną. Maggie nie po raz pierwszy decydowała się zrobić coś na granicy wytrzymałości, a przy jej kontuzji znoszenie ciężkiej torby i chorego na noszach było bardzo trudne. W połowie drogi między drugim i pierwszym piętrzem poczuła, że za chwilę jej mięśnie mogą odmówić posłuszeństwa. Nie zatrzymała się jednak, bo wiedziała, że potem nie będzie już w stanie ruszyć, lecz tylko trochę zwolniła.

- Wszystko w porządku? - Joe spytał przez ramię.

- Tak - odparła, mając nadzieję, że jej uwierzy.

Dobrze, że on idzie przodem i nie widzi jej twarzy.

Ale w chwilę później, gdy już docierała do podestu na piętrze, spod jej stopy coś nagle czmychnęło, a ona zachwiała się niebezpiecznie.

Za żadne skarby nie wolno jej upaść ani puścić noszy! Zanim zdołała odzyskać równowagę, minęła zaledwie sekunda, ale jej się wydawało, że to działo się w zwolnionym tempie. W ciągu tej sekundy

musiała do granic możliwości wyteńczyć siły, by zapobiec katastrofie - nie wypuścić noszy z rąk i nie przewrócić się na betonową podłogę.

Gdy wreszcie znalazła się na podeście, musiała zaciskać powieki, by nie płakać z bólu, który przeszywał jej lewą nogę od biodra przez kolano aż po stopę.

- Maggie? - Głos Joego powoli docierał do jej świadomości. - Co ci jest? Maggie, słyszysz mnie?

Przełknęła ślinę, walcząc z mdłościami.

- O mało nie nadepnęłam na mysz – powiedziała z trudem. - Nic mi nie jest, tylko...

- Poczekaj, położę nosze. Ale ty tego nie rób, ja ci pomogę. Nie schylaj się i nie ruszaj.

- Nie rób tego - zdołała powiedzieć, z bólu zaciskając zęby. - Musimy go jak najszybciej znieść. Dam radę. Naprawdę.

Joe zaklął pod nosem.

- Okej, ale pod warunkiem, że nie będziesz się spieszyć. Idź ostrożnie i powoli.

Ostrożnie i powoli, powtórzyła w duchu. Dopóki może zginać nogę w kolanie, będzie w stanie iść. Rzeczywiście lepiej, żeby to trwało parę minut dłużej, niż narażać pacjenta na niebezpieczeństwo, że ona upadnie. Joe, choć jest bardzo silny, nie zdoła sam dotaszczyć chorego.

Schodziła więc stopień po stopniu, a każdy krok przyprawiał ją o straszliwy ból. Joe przystawał co jakiś czas, mówiąc, że musi złapać oddech. Ale to nie była prawda, zatrzymywał się ze względu na nią.

- Już prawie jesteśmy na dole - dodał jej otuchy.

Gdy wreszcie zobaczyła oznaczającą parter literę P, miała wrażenie, że to jakieś najpiękniejsze na świecie arcydzieło malarskie. Po ułożeniu

Martina w karetce za wszelką cenę próbowała nie okazywać swego szczęścia, ale nie umiała powstrzymać westchnienia ulgi.

- Dasz radę prowadzić? - spytał Joe. - Jeśli nie, usiądź z tyłu.

- Przecież się nie połamalam. - Pozwoliła sobie na uszczypliwość, ale jego troska sprawiła jej przyjemność. - Poprowadzę, a ty siadaj przy chorym.

Gdy dojechali do szpitala, Martin wciąż nie odzyskał przytomności.

- Dziękuję, zwrócę na to uwagę - zapewnił ją lekarz dyżurny, gdy mu wspomniała o krwiaku na potylicy chorego. - Jak zrobimy mu tomografię głowy, dowiemy się, co mu jest.

- Prosimy o wiadomość - wtrącił Joe. - I ktoś musi też przebadać moją partnerkę. Ma obrażenia biodra.

- Ale mogę chodzić - dodała Maggie.

- Zaraz to obejrzymy. - Lekarz przywołał pielęgniarzkę z wózkiem.

- Nie ma potrzeby... - zaczęła Maggie.

- Jeśli to nic poważnego, tym lepiej. Ale to trzeba sprawdzić - przerwał jej Joe.

- O Boże! Już nieraz w życiu....

Tym razem weszła jej w słowo pielęgniarzka, rzeczowa kobieta w średnim wieku:

- Nie ma o czym mówić, za parę minut będzie po wszystkim... A teraz, moja droga, ściągnij grzecznie spodnie - dodała już w gabinecie.

Maggie zaczęła rozpinąć pas, ale się zatrzymała.

- Przy nim się nie rozbiorę.

- Słyszałeś chyba? - Pielęgniarzka spojrzała z uśmiechem na Joego, który ociągał się z wyjściem.

- Trudno, ale w razie czego mnie zawołajcie. Czekam pod drzwiami.

- Bardzo opiekuńczy facet. - Pielęgniarka spojrzała porozumiewawczo na Maggie.

- To prawda, choć nie mam pojęcia, skąd mu się to bierze. - Ściągnęła spodnie, próbując nie patrzeć na krwiak wielkości piłki tenisowej na biodrze i fioletowe opuchnięte kolano. - W końcu jesteśmy tylko partnerami.

- Mów do mnie jeszcze.  
- Naprawdę.

- Jasna sprawa. Wmawiaj sobie dalej, moja droga.

TLR

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Pielęgniarka wyszła z gabinetu, by po chwili wrócić tam w towarzystwie młodej lekarki. Joe, odprężony tylko z pozoru, stał w korytarzu oparty o ścianę. Nie umiał pogodzić się z tym, że Maggie została poszkodowana. Robiła wszystko, co było w jej mocy, by to przed nim ukryć, ale przecież słyszał, jak ciężko wtedy upadła. Widywał w życiu twarych facetów, którzy przy mniej poważnych obrażeniach nie umieli powstrzymać łez.

Łatwo wszystko zwalić na tych trzech drani, bo gdyby nie została pchnięta i przewrócona na górze, może nie przydarzyłaby się jej później ta przygoda na schodach. A ona o mało nie upadła i dodatkowo nadwreżyła nogę. Na szczęście poczuł, że się zachwiała, więc zdążył się zatrzymać z noszami, szkoda tylko, że o sekundę za późno. Na myśl, co się wtedy mogło stać, wciąż przechodzą go dreszcze.

Całe szczęście bandyci na górze nie użyli noża albo pistoletu. Najwyraźniej myśleli, że obrabować parę ratowników to jak wyrwać torebkę bezbronnej staruszce. Ale Maggie, szczupła i z pozoru krucha, zrobiła im niespodziankę. Prawdę mówiąc, jego także zaskoczyła, chociaż zdążył ją już dobrze poznać. Widział, jak poważnie traktuje swoją pracę, widział, że na treningach ćwiczy z ogromnym samozaparciem i we wszystkim chce dorównać chłopakom. Nie dopuszczała, by traktowano ją na specjalnych prawach dlatego, że jest dziewczyną.

I właśnie dlatego wymagała więcej od siebie niż od innych. Dzisiaj przekonał się o tym na własne oczy. Chociaż musiało ją boleć jak diabli, zdecydowała się taszczyć chorego kilka pięter w dół. Do tego przytrafiła

się jej po drodze przygoda, po której jeszcze trudniej jej było iść. Ale zagryzła zęby i dopięła swego.

Otworzyły się drzwi, z gabinetu wyszły pielęgniarka z lekarką.

- Co z Maggie? - spytał, wyrwany z zamyślenia.

- Będzie żyła - odpowiedziała lekarka z leciutkim uśmiechem, jakby to pytanie było zabawne.

- Czy mogę tam wejść?

- Tak, ale za parę minut. Proszę jej pozwolić się ubrać.

- Czy będzie musiała wziąć zwolnienie z pracy? - Wyobraził sobie sprawozdanie z wypadku, które będą musieli złożyć kapitanowi, i całą związaną z tym procedurę biurokratyczną.

- To zależy od niej - odparła lekarka. - Najboleśniejszy jest uraz kolana, więc musi na nie przykładać kompresy z lodu. I oczywiście na razie nie wolno jej nadwierać nogi. Żadnych rutynowych ćwiczeń i biegów po schodach. Myślę, że za dwa tygodnie dojdzie do siebie. Ale gdyby ją bardzo bolało, powinna się do nas zgłosić - dodała na odchodnym.

- Rozumiem. - Joe z trudem odczekał jeszcze chwilę. Chciał jak najszybciej przekonać się na własne oczy, że z Maggie nie dzieje się nic złego, ale ona nie ucieszyłaby się z tego pośpiechu. Cierpliwości, powiedział sobie w duchu, po czym zapukał do drzwi.

- Proszę - usłyszał. Nie widział jej od trzydziestu minut, ale miał wrażenie, że minęły godziny. Zdażyła się ubrać i na szczęście nie skręcała się z bólu. Nie chciał okazywać po sobie, że spadł mu kamień z serca.

- Lekarka mówi, że to nic poważnego.

- A miałeś jakieś obawy? - zapytała cierpko.

- Szczerze mówiąc, miałem. Przecież ten drań popchnął cię z całej siły na beton.

- Przestań, do diabła. - Wzruszyła ramionami. - Jesteś śmieszny. Gdyby to się przydarzyło któremuś z chłopaków, wcale byś się nie przejmował. Taka praca. I nie pozwoliłbyś na żadne mazanie się na schodach.

- Być może.

- To dlaczego mnie traktujesz inaczej?

- Dlatego, że ty jesteś inna. Dlatego... - Musi ją pocałować. Są sami, w gabinecie nie ma nawet okien. Tylko w ten sposób uwierzy, że naprawdę nie stało się jej nic poważnego. Tylko jeden pocałunek. Koniecznie musi ją pocałować. - Dlatego, że tylko ciebie chcę przytulić. - Zanim zdążyła zaprotestować, wziął ją w ramiona.

W najśmielszych marzeniach nie spodziewał się tak cudownej reakcji. Położyła mu dłonie na ramionach, a potem objęła go za szyję. W nagłym porywie pożądania marzył, by ją rozebrać. By nie kończyć na pocałunku.

Na szczęście umiał się opanować. Z trudem.

- Naprawdę nic ci nie jest? - wyszeptał.

- Naprawdę.

Jaka szkoda, że nie mogą zostać sam na sam w tym gabinecie. Są na służbie, ktoś może tu wejść w każdej chwili. Przede wszystkim jednak nie może przed sobą udawać, że takiej kobiecie jak ona nie ma nic do zaoferowania. Oderwał się od niej wbrew sobie.

- Skoro to nic poważnego, na nas już czas. – Pełen niepokoju wielbiciel w okamgnieniu stał się znów partnerem w pracy. - Kapitan nie wie, co się z nami stało.



Ona chyba też przyjęła to z ulgą, bo skinęła głową.

- Czy możemy moją dzisiejszą przygodę zachować w tajemnicy? Nie chcę, żeby to się rozeszło.

- Przecież wszyscy zauważą, że okładasz się lodem. I nie myśl, że ci pozwolę, żebyś tego nie robiła.

- Wiem - przyznała niechętnie. - Ale wolę nie mówić, że o mało się nie zabiłam z powodu myszy. Małutkiej myszki. Będą pękać ze śmiechu, do końca świata nie dadzą mi spokoju.

- Pomyśl tylko o chorobach, jakie roznoszą gryzonie. Można powiedzieć, że to była sprawa życia i śmierci.

- Wiem, ale czemu na moje życie zasadziła się mała myszka? Czemu nie krwiożerczy pit buli albo doberman?

- Nie musimy im mówić, że to była mała myszka. Powiemy, że to była ogromna mysz, tak gigantyczna, że powaliła cię na ziemię jednym ruchem ogona.

Maggie, kulejąc, ruszyła do wyjścia.

- Boję się, że nie uwierzą - odparła, uśmiechając się blado.

- Nie wiem, ale warto spróbować.

Gdy doszli do karetki, chciał usiąść za kierownicą, ale zaprotestowała:

- Jestem w stanie prowadzić.
- Nie wątpię, ale nie zamierzam ci na to pozwolić.
- Zawsze musisz o wszystkim decydować? - Znowu lekko się uśmiechnęła.

W pierwszej chwili chciał temu zaprzeczyć, ale zrezygnował. Przez całe lata był na łasce innych ludzi, korzystał z cudzej dobroci. Dlatego musiał to odreagować i już jako dziecko chciał być samodzielny, decydować o sobie. Lubił narzucać swoją wolę, ale gdy trzeba, umiał się podporządkować. Po prostu nauczył się panować nad swymi skłonnościami.

- Zawsze. To widać gołym okiem.

Na posterunku po krótkim spotkaniu z kapitanem wziął prysznic, po czym wszedł do pokoju socjalnego. Maggie przyłożyła sobie lód do kolan i najwyraźniej oswoiła się już z żartami kolegów, którzy jeden przez drugiego rozśmieszali ją dowcipami o myszach.

- Więc powiedziałaś im całą prawdę? – Przysiadł się do niej z uśmiechem.

- Nie miałam wyboru, musiałam się przyznać.
- I co? Są wstrząśnięci?
- No jasne. Bo wiedzą, że miała czerwone ślepia, straszliwe wąsiska, zęby jak łopaty i dziko ryczała.
- Tak, twoja przygoda rzeczywiście mrozi krew w żyłach.

- Maggie, wiesz, jak odratować podtopioną mysz? - Jimbo siedział przy komputerze. - Właśnie sprawdziłem w internecie. Metodą usta-pyszczek.

- Dzięki. Na pewno to zapamiętam.

- Joe, a ty nie masz nam nic do powiedzenia o myszach?

Postanowił przyjść swej partnerce z odsieczą.

- Mam, ale będę milczał, bo Maggie, patrząc na mnie groźnie, kazała mi cicho siedzieć. – Przełączył telewizor na kanał sportowy. - Będę więc milczał jak grób.

- A co mówiło to jej spojrzenie? - Shep nie chciał dać za wygraną.

- Że jeśli powiem słowo, nie dostanę kurczaka i ciasta czekoladowego z migdałami. Musiałbym się obejść kanapkami z dżemem i suchymi waflami. Na moim miejscu ty też chyba nie chciałbyś ryzykować?

- A co? Maggie upiecze kurczaka? - Shep oblizwał się łakomie.

- Świetnie cię rozumiem, Donatelli - dodał Jimbo. - Za jej kurczaka dałbym się pokroić. Ona może stawiać twarde warunki.

- Niestety.

To był dobry pomysł, bo mecz w telewizji okazał się ciekawszy od żartów o myszach. Gdy wywiązała się gorąca dyskusja o baseballu, Joe spojrzął na Maggie, a ona uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

Zrobiło mu się ciepło na sercu. To zabawne, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie w stanie wyratować ją opresji. A tym razem udało mu się ją ochronić, pomyślał z satysfakcją. Jakie to miłe uczucie.

Jednak opiekuńczość wobec Breanny polega na czymś zupełnie innym. Gdyby zawiódł Maggie, nie stałoby się nic straszego. Wyszłaby z tego obronną ręką. Wprawdzie z malutką wiele go łączy, bo też przeżył w życiu utratę najbliższych, ale odpowiedzialność za bezbronne dziecko wciąż go przeraża. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie umiał temu sprostać.

Po powrocie na posterunek Maggie też wzięła prysznic. Chciała jak najszybciej zmyć z siebie zapach obscurnego hotelu i dotyk wytatowanych rąk bandziora. O pocałunku Joego próbowała nie myśleć, chciała skupić się na tym, by koledzy nie dopytywali się zbytnio, co jej się stało. Szkoda, że nie porozmawiała o tym z Joem w drodze ze szpitala.

Chciała ukryć, że kuleje, ale się nie udało. Harry zauważył to, gdy tylko weszła do kuchni. Wieść błyskawicznie rozeszła się wśród chłopaków, szybciej niż wirus przeziębienia, zanim jeszcze zdążyła zrobić sobie kompres z lodu.

Na szczęście, dzięki sztuczce Joego, szybko dali jej spokój, a ona mogła znów wrócić myślami do pocałunku.

Patrząc na to trzeźwo, nie jest dobrze, że między nimi iskrzy. Rzecz jasna, tutaj jakoś można to ukryć. Ale czy doszłoby do tego, gdyby nie Breanna? Czy bez niej zwróciłby na nią uwagę? Nie można wykluczyć, że z jego strony to tylko wdzięczność za pomoc przy dziecku. Jej związek z Arthurem zaczynał się podobnie, a ona błędnie odczytała intencje swego partnera i jego pierwszy pocałunek. Ale z drugiej strony musi przyznać, że namiętne pocałunki Joego są zupełnie inne. Ona to czuje i jej także udziela się ten żar. Też nie potrafi się oprzeć pożądaniu. Arthur był opanowany, nie było w nim pasji.

I jeśli pocałunek w szpitalu jej nie zaskoczył, to nie spodziewała się, że Joe weźmie ją w obronę i ukróci nieszkodliwe kpiny kolegów. Jeszcze przed paroma dniami na pewno by się do nich przyłączył, lecz teraz najwyraźniej przejmuje się nią i jej odczuciami. Wreszcie zdołali się zgrać jako partnerzy.

A skoro potrafił przezwyciężyć trudności, jakie były między nimi, trzeba też wierzyć, że odnajdzie się w roli ojca. Niezależnie od wyniku

badań DNA, Breanna go potrzebuje. Co więcej, dziecko pomoże mu także przełamać dystans do świata.

Bo jeśli ma być szczerą i nie oszukiwać siebie, chce nauczyć Joego, że miłość jest czymś wspaniałym. Chce sprawić, że jej zapragnie, pomóc mu przełamać lęki.

Ale nie będzie to łatwe.

- Nie mówisz tego poważnie - powiedziała mu tydzień później.

Jechali do mieszkania Dee, by spakować jej rzeczy. Jutro koledzy mieli im pomóc je opróżnić. Domagał się tego stanowczo jego właściciel. Choć Joe robił wszystko, by opóźnić ten smutny moment, nie mogli dłużej zwlekać. Maggie nie obawiała się samego pakowania, bardziej martwiła się tym, co Joe zamierza zrobić przy tej okazji.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał.

- Nie rozumiem, po co chcesz odszukać tego człowieka, skoro najbliższa przyjaciółka i sąsiadka Dee od dawna go nie widywała?

- Bo spotykał się z nią już po naszym rozstaniu. Może będzie mógł mi powiedzieć, co się działo w jej życiu. Może mi wyjaśni, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Jeśli nie chcesz mi pomóc, odnajdę go sam.

- Pomogę ci - zgodziła się niechętnie. - Ale uważam, że to ci nic nie da. Gdyby ten facet był dla niej ważny, Anna by o tym wiedziała.

- Może tak, a może nie. Chcę tylko z nim porozmawiać. Nic więcej.

Maggie domyślała się, że chodzi mu o coś jeszcze, ale skoro tak zaciska zęby, to znaczy, że nie zamierza jej tego powiedzieć.

- Widzę, że nie zdołam cię przekonać.

- Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Pewnie słyszałeś narzekania, że jesteś uparty?

- Raczej dążę konsekwentnie do celu.

Zrezygnowana zabrała się do pomocy w segregowaniu rzeczy. Podzielili je na trzy części: pamiątki, przedmioty do wyrzucenia i te do rozdania.

Nie było to trudne. Maggie wiedziała, że gdy Breanna dorośnie, ucieszy się, że ma po matce parę drobiazgów z biżuterii, kilka bibelotów, wyszywaną ręcznie poduszkę, zdjęcia. Wszystko to starannie spakowała.

Ale ciężko jej było patrzeć na malutką, która raczkowała po mieszkaniu, zaglądając ciekawie we wszystkie kąty. Myślała, że pęknie jej serce, gdy Breanna z nadzieją w głosie powiedziała:

- Mama?

Dziewczynka powtórzyła to jeszcze parę razy, ale w końcu wdrapała się na łóżko, usadowiła na poduszce i trzymając kurczowo zieloną koszulę nocną mamy, którą ściągnęła z jej łóżka, usnęła z paluszkami w buzi.

- Pamiętaj, Joe, tej narzuty i koszuli musisz pilnować jak oka w głowie. - Maggie z trudem hamowała łzy.

On chyba też, patrząc na Breannę, nie umiał opanować wzruszenia.

- Dobrze - rzucił szybko, odwracając wzrok. Gdy skończyli porządkować mieszkanie, poprosili

Annę, by popilnowała małej, a sami poszli do innych sąsiadów i odwiedzili restaurację, w której pracowała Dee. Tylko jedna sąsiadka przypomniała sobie, że widziała raz mamę Breanny w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Z jej opisu wynikało, że to ten sam człowiek, o którym mówiła Anna, ale także ta pani niczego nie umiała o nim powiedzieć.

- Martwisz się, że nie mamy żadnych tropów? - spytała później Maggie.

- Tak i nie. Niepokoi mnie to, że być może ten człowiek byłby w stanie zająć się Breanną lepiej niż ja.

- Gdyby tak było, Dee przyznałaby mu prawo do opieki. Chyba musisz to przyznać?

- Masz rację. Muszę wierzyć, że wiedziała, co robi. Że w tym szaleństwie była jakaś metoda.

- Nie mówiąc już o tym, że być może to jakiś daleki znajomy. Albo agent ubezpieczeniowy czy inkasent.

- Wiesz, to mi nie przyszło do głowy. - Joe zerknął na nią zmieszany.

- A widzisz. Ale powiedz mi lepiej, dlaczego się cieszysz, że niczego się nie dowiedzieliśmy.

- Zaczynam się do niej przyzwyczajać – westchnął głęboko, spoglądając na małą.

Zrozumiała go w lot.

- To normalne, Joe. Im dłużej z kimś przebywamy, tym łatwiej jest nam tego człowieka pokochać.

Pominał tę uwagę milczeniem. Być może, pomyślała Maggie, on zdaje sobie sprawę, że go rozgryzła. Joe próbuje zachować dystans i broni się przed miłością, bo boi się odtrącenia, ale to on sam będzie musiał zrozumieć ten mechanizm psychologiczny. Kto wie, może Dee takie chciała mu to uzmysłowić, ale w końcu dała za wygraną i postanowiła poprzestać na przyjaźni. Może za sprawą losu teraz trzeba przejąć pałeczkę? A jeśli się na to zdecyduje, czy ma szansę na sukces?

Chociaż sprawa wydaje się bardzo ryzykowna, mimo wszystko jest gotowa spróbować. Wbrew wszystkim trudnościom pragnie go przekonać, że miłość i przywiązanie nie muszą oznaczać bólu, lecz mogą wypełnić pustkę wewnętrzną. Chciała czegoś więcej, niż tylko wspierać go w trudnościach. I chciała, by to zrozumiał i się tego nie bał.

Po położeniu Breanny do łóżka Joe postanowił obejrzeć film w telewizji. Ale nie mógł się skoncentrować, bo wciąż wracał myślami do tego, co powiedziała Maggie, i w tym kontekście próbował lepiej zrozumieć łączącą ich relację. Z kobietami zawsze kończyło się na kilku spotkaniach, bo wszystkie przestawały go interesować. Gdyby znajomość z Dee nie przerodziła się w przyjaźń, z nią także zerwałby szybko kontakty.

Nie wiedział dlaczego, ale Maggie była jedynym wyjątkiem od tej nieświadomionej wcześniej reguły. Tylko ona umiała sprawić, że się przełamał i przestał wykluczać możliwość założenia rodziny. Miesiąc temu uznaliby, że to nierealne, teraz z całego serca pragnął bliskości. Ale gdy te rozmyślenia przerwał mu płacz Breanny, a on przez godzinę nie umiał jej utulić, marzył już tylko o tym, by mała wreszcie usnęła. O jedenastej wieczorem w desperacji zadzwonił do Maggie.

- Błagam cię, pomóż. Nie mogę sobie dać rady.
- Co się stało? - spytała zaspana.
- Przepraszam, że cię budzę, ale mamy problem. Ona nie przestaje zanosić się od płaczu.
- Może ją trzeba przewinąć? Albo jest głodna?
- Ani jedno, ani drugie - odparł, siląc się na cierpliwość. - Noszę ją na rękach, głaszczę po główce, śpiewam kołysanki. Nic nie pomaga.
- Sprawdź, czy nie ma temperatury.



- Ma lekko rozgrzaną buzię, ale myślę, że to od płaczu. Nie wiem, co robić. Błagam, pomóż nam.

- Dobrze, zaraz przyjadę.

Pogładził małą po główce.

- No już, uspokój się. Za chwilę przyjdzie Maggie. Nie płacz, no już. Przestań, wszystko będzie dobrze.

Ale Breanna płakała dalej.

- Zobaczysz, zaraz przyjdzie Maggie.

Jeszcze przez kwadrans nosił ją na rękach, bezskutecznie próbując utulić. Gdy wreszcie usłyszał dzwonek, myślał, że oszaleje z radości.

- Nie możesz jej uspokoić? - Powiesiła kurtkę na oparciu krzesła. - Może idą jej ząbki?

Co z niego za ojciec? Dlaczego to mu nie przyszło do głowy?

Maggie włożyła malutkiej palec do buzi.

- Chyba nie. Według mnie nie ma nabrzmiąłych dziąseł. A może boli ją uszko? Niczego nie zauważyłeś?

- Nie - potrząsnął głową. - Ale zanim pojedziemy na ostry dyżur, może weź ją na ręce.

Breanna przytuliła się do niej i natychmiast przestała płakać.

- Szkoda, że tak zwlekałem z telefonem do ciebie - powiedział, siląc się na uśmiech.

- Poczekajmy, nie wiadomo, czy jej przeszło. Ku jego rozpaczy mała po chwili znowu zaczęła płakać.

- Ostatni raz to się zdarzyło tydzień temu. Miałem nadzieję, że więcej się nie powtórzy.. Naprawdę nie wiem, co robić.

- Może uspokoi ją kąpiel i zmiana śpioszków. Trzeba spróbować, pomyślał z ulgą. Ale Breanna za nic nie chciała się uciszyć. Nagle oczy Maggie zaświeciły się, jakby wpadła na jakiś pomysł.

- Joe, masz pod ręką tę koszulę nocną, którą przywieźliśmy dzisiaj od Dee?

- Jest z innymi rzeczami w garażu.

- Poczekaj, zaraz wrócę.

Gdy po chwili przyniosła zieloną koszulę, mała chwyciła ją oburącz i ucichła. Zanim zamknęła oczka, powiedziała jeszcze:

- Mama?

- Nie wierzę własnym oczom - szepnął Joe, patrząc na Maggie.

- Ja też nie. Biedne dziecko. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadliśmy. To jedyna rzecz, która przypomina jej mamę.

- Spróbuję położyć ją do łóżeczka.

Maggie poszła za nim do pokoju Breanny. Joe przykrył dziewczynkę, odgarnął jej włoski z czoła i czule pogładził po główce.

- Idziemy? - szepnął.

- Ja jeszcze chwilę zostanę. Chcę się upewnić, że usnęła spokojnie.

Po jego wyjściu pocałowała Breannę. Tak bardzo chciały ją uwolnić od bólu, oszczędzić jej cierpienia.

Może to się uda, ale pod jednym warunkiem. Obydwoje z Joem muszą otoczyć ją miłością i zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

- Słodkich snów - szepnęła Breannie do uszka, po czym cicho zamknęła za sobą drzwi.

Joe stał przed otwartą lodówką, trzymając w ręku butelkę piwa.

- Błogosławiona cisza. - Maggie uśmiechnęła się z przymusem.

- Święte słowa. Napijesz się ze mną?

- Bardzo chętnie.

Nalał piwo do szklanek.

- Miałaś niezłą przeprawę...

- Co ty powiesz - przerwał jej obcesowo

- Joe powiedziała z niepokojem. - Powinieneś się cieszyć, że wreszcie usnęła.

- Cieszę się. - Pociągnął duży łyk, po czym usiadł ciężko na kanapie.

- Jakoś tego nie widzę.

- Trudno, żebyś śpiewał i tańczył.

- Ale widzę, że jesteś spięty.

- Proszę cię, daj mi spokój. - Oparł głowę na poduszce i przymknął oczy.

Z nim dzieje się coś dziwnego. Jeszcze przed chwilą mogłaby się założyć, że jak zwykle będzie ją błagał, by go nie zostawiała samego, a on w gruncie rzeczy wyprasza ją z domu.

- Zaraz sobie pójdę, ale najpierw musisz mi powiedzieć, co się stało.

- Dlaczego uważasz, że coś się stało?

- Znamy się dosyć dobrze i widzę gołym okiem, że masz jakiś problem. Jak będzie trzeba, nie ruszę się stąd do rana. Najpierw musisz mi o tym powiedzieć.

Po chwili milczenia w końcu wydusił:

- Ona cierpiała przeze mnie.

- Przez ciebie? Dlaczego?

- Nie powinienem jej tam dzisiaj zabierać. Nie pomyślałem o tym, że to obudzi w niej wspomnienia i otworzy nie zabliznione rany. Że na widok swojego domu będzie tęsknić za mamą. Ale byłem bezmyślny w swoim egoizmie.

- O czym ty mówisz? O jakim egoizmie? – Usiadła naprzeciw niego i popatrzyła mu w oczy. - Przecież po prostu nie chciałeś jej zostawiać z opiekunką, nawet tak świetną jak Nancy. Mnie też przecież nie przyszło na myśl, że wizyta w domu może ją wytrącić z równowagi. Ja też, tak samo jak ty, powinnam o tym po-myśleć, więc też jestem winna.

- Być może, ale ty przynajmniej odgadłaś, czego. jej trzeba; Ja nie umiałem się domyślić.

- Zapewniam cię, że zgadywałam w ciemno. Udało mi się przez czysty przypadek.

- Jakoś nie jestem w stanie ci uwierzyć.

- Nie bądź śmieszny. Też byś na to wpadł, prędzej, czy później.

- W najlepszym razie za jakieś pięć lat.

- I po co ten sarkazm? Gdybyś nie był taki zmęczony, sam byś się tego domyślił. Mnie się udało, bo. byłam bardziej wypoczęta i mniej przeżywałam dzisiejszy dzień.

Dopił piwo, po czym spojrzał na nią z namysłem, jakby miał za chwilę podjąć jakąś życiową decyzję, która będzie dotyczyć całej ich trójki.

- Tylko nie waż mi się mówić, że się poddajesz. - Maggie badawczo zmrużyła oczy.

- Dla niej tak będzie najlepiej.

- Co takiego? Jeśli ośmielisz się...

- To co? - Wpatrywał się w nią z ciekawością. Rzeczywiście, co? Postraszy go, że się do niego nie będzie odzywać? Bywają gorsze groźby. A poza tym jeśli tylko groźby mają go skłonić do zatrzymania Breanny, w gruncie rzeczy nie warto o to walczyć.

Z drugiej strony nie można przecież wykluczyć, że on po prostu potrzebuje, żeby ktoś położył kres temu uzalaniu się nad sobą.

- Masz rację - powiedziała chłodno. - Zrobisz, jak uważasz. W końcu nie musisz dotrzymywać obietnicy, którą złożyłeś Dee. Masz prawo się poddać. Zresztą od samego początku szukałeś furtki, żeby się pozbyć Breanny. Powtarzam, masz do tego prawo, ale ja się nie dam przekonać, że to jest słuszne. Mówisz w kółko, że nie chcesz postępować tak jak twój ojciec. - Wstała i pochyliła się nad nim. - Boisz się, że tak jak on uciekniesz, kiedy będzie ci ciężko. Twoje obawy są słuszne, bo jesteś do niego bardziej podobny, niż myślisz. Zresztą po co masz czekać do jutra. Lepiej pozbądź się jej teraz, jak śpi. Jutro obudzi się już w nowym domu.

Maggie wybiegła do garażu po pusty karton. Gdy wróciła, Joe stał pod ścianą.

- Masz. - Rzuciła mu pudło pod nogi. - Na co czekasz? Zabieraj się do pakowania jej rzeczy. Zresztą, chętnie ci w tym pomogę.

Uklękła przy koszu z zabawkami, po czym zaczęła wrzucać do kartonu grzechotki, klocki, przytulanki.

Miała nadzieję, że Joe ją powstrzyma. Ale on stał bez ruchu.

Wrzuciła pluszowego lwa i żyrafę, po czym rękami drżącymi z hamowanej wściekłości zabrała się do pakowania książeczek. Ale na widok kolorowych okładek w jej oczach stanęły łzy. Zrozumiała, że może już nigdy nie będzie czytać małej tych historyjek, że Breanna nie będzie ich słuchać z szeroko otwartymi oczkami.

Ale jej serce kroilo się nie tylko dlatego, że może utracić Breannę. Wraz z dzieckiem straciłaby także Joego. Kilka godzin temu przekonywała go, że miłość nie musi boleć, a teraz, jak na ironię, cierpiała właśnie dlatego, że go kocha.

Nagle silna dłoń zatrzymała jej rękę.

- Co ty robisz? - wyszeptał.
- Pakuję małą - wykrztusiła, ocierając łzy mankietem bluzki.
- Przestań - rzucił ochryple.
- Dlaczego mam przestać? - Zanim spojrzę mu w oczy, muszę się opanować, pomyślała w popłochu.
- Dlatego, że Breanna lubi zabawki. Ona tu zostaje.
- Wiesz, co mówisz? Jesteś tego pewien?
- Całkowicie. Jeszcze nie minęło trzydzieści dni. Uspokój się, proszę.
- Przypomniałam sobie, jak jej to czytałam po raz pierwszy. - Zbielałą dłonią ścisnęła książeczki. Uświadomiłam sobie, że to się już nie powtórzy.
- Rozumiem.
- Ale powiem ci więcej. Jestem zazdrosna. Cholernie zazdrosna. Los podarował ci to cudowne dziecko, a ty nie wiesz, co robić. Bardzo bym chciała być na twoim miejscu. Czuję się jak druhna, która nie wyjdzie za mąż, jak ciotka, która nie będzie miała własnych dzieci. Już raz to przeżyłam, a teraz jest jeszcze gorzej. Nie wiem, czy starczy mi sił, żeby ciągnąć to wszystko.

Zła na siebie za to, że zdradziła swe najtajniejsze myśli, podniosła się z podłogi, lecz zanim zdążyła się cofnąć, Joe chwycił ją w ramiona.

- Maggie, nie zdawałem sobie z tego sprawy - szepnął.
- Ale teraz już wiesz - rzekła sztywno.
- Dobrze, że zrozumiałem, co ci chodzi po głowie. Ale całkowicie się mylisz. Nie zamierzałem się poddać.

Spojrzała mu badawczo w oczy, po czym uwolniła się z jego uścisku.

- Przecież miałeś wymalowany na twarzy straszliwy smutek.
- To prawda - przyznał. - Byłem smutny i zły.
- Ale dlaczego? Przecież wszystko skończyło się dobrze...
- Dlatego, że po prostu nie wiedziałem, co robić, a bardzo chciałem sam jakoś utulić Breannę.
- Więc po co do mnie dzwoniłeś?
- Bo nie wiedziałem jak. Czułem się bezradny. Może ona w końcu by padła ze zmęczenia, ale to byłoby zbyt okrutne. Zadzwoiłem po ciebie, bo czułem, że jej dobro jest najważniejsze. Rozumiesz? Przypomnij sobie, co ci przyrzekłem - ciągnął. - Ustaliliśmy przecież, że nie zrobię niczego bez twojej wiedzy. Czyżbyś o tym zapomniała? A może wciąż mi nie dowierzasz?

Niczego nie będzie przed nim ukrywać. Musi być wobec niego szczerą.

— I jedno, i drugie - przyznała. - Przepraszam cię, ale wyglądałaś tak nieszczęśliwie i tyle było w tobie determinacji. Bardzo mi przykro, że się pomyliłam.

Myślała, że przyznając się do tego, sprawi mu ból, lecz ze zdumieniem stwierdziła, że on ją rozumie.

-Nie mogę mieć do ciebie pretensji – powiedział cicho. - Ja też podjąłem pewną decyzję. Dłużej tego nie wytrzymam, więc chciałbym, żebyś zamieszkała z nami.

TLR



## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

- Słucham? - spytała zdumiona.
  - Zamieszkaj z nami - powtórzył. - Mnie samego początkowo zaskoczył ten pomysł. Ale to najlepsze rozwiązanie.
  - Jak ty sobie to wyobrażasz? - Uniosła brwi i zmrużyła oczy.
  - Kiedy przyjdzie kolejny kryzys, to znaczy Brean- na będzie miała kryzys - poprawił się - ty będziesz na miejscu.
  - Ale ja mieszkam dwa kroki stąd. A płacz to nic strasznego. Zresztą chcę ci zwrócić uwagę, że ty też zostałeś nauczony, jak sobie radzić w sytuacjach kryzysowych.
  - Breanna potrzebuje kobiety.
  - Jest Nancy.
  - Nie przychodzi codziennie, a to za mało.
  - Ale w pozostałe dni spędzam z małą mnóstwo czasu. Kiedy mnie nie ma, ona zwykle śpi.
  - Kochasz ją, a Breanna kocha ciebie.
  - To prawda - przyznała ze spokojem. - Nie mogę tu zamieszkać choćby ze względu na naszą pracę. Tego się nie da pogodzić.
  - Kapitan wie, że mi pomagasz.
  - Pomoc to co innego. Poza tym pomyśl, że musielibyśmy uważać na każdym kroku, żeby nie budzić podejrzeń, a i tak prędzej czy później sprawa musiałby się wydać.
- Trudno mu było temu zaprzeczyć, ale się nie pod- dawał:

- W takim razie będę zmuszony poprosić Nancy, żeby tu zamieszkała.

- Chcesz mnie zaszantażować?

- Owszem. - Skinął głową.

- Rozumiem, ale wytłumacz mi, dlaczego tak ci na tym zależy.

Joego, który spodziewał się z jej strony niezdecydowania, zaskoczyła ta prośba.

- Od pięciu minut próbuję ci to wyjaśnić.

- Czyli mam wierzyć, że idzie ci tylko o dobro Breanny?

- Oczywiście - potwierdził, wiedząc zarazem, że nie jest całkowicie szczery. Chce, by z nimi zamieszkała także ze względu na niego. Potrzebuje jej wsparcia, nikt poza nią nie umie mu dodać otuchy.

- Czy chciałbyś, żebym się wprowadziła na zawsze, czy tylko na pewien czas?

To pytanie go nie zdziwiło. Dotąd unikał wszelkich zobowiązań, ale Maggie jest inna. Dla niego jednak propozycja wspólnego zamieszkania oznaczała poważne zobowiązanie z jego strony. Niczego więcej nie potrafił przyrzec.

- Wszystko kiedyś się kończy.

- Czy ty czasem myślisz o przyszłości? – spytała z wahaniem. - Czy zastanawiasz się nie tylko nad tym, co będzie za tydzień czy miesiąc, ale za pięć albo dziesięć lat?

- Oczywiście - zapewnił ją lekko urażony. - Gdybym nie planował i nie ustalił sobie w życiu pewnych celów, nie byłbym tym, kim jestem.

- Ale ja nie mam na myśli życia zawodowego. Mówię o sprawach osobistych.

W swych dalekosiężnych planach osobistych nigdy nie uwzględniał nikogo, bo nikomu nie ufał na tyle, by wierzyć, że pozostanie na dłużej w jego życiu. Dzięki Maggie uświadomił sobie, że spodziewa się samotności i jest na nią przygotowany. Tak czy inaczej, przyzwyczyił się polegać wyłącznie na sobie, niczego nie oczekiwać od innych.

- Coś w tym jest, że jeśli zatroszczymy się o dzień dzisiejszy, przyszłe problemy same się rozwiążą. A Breanna potrzebuje matki.

- Zapewne - przyznała mu rację.

- Więc ty powinnaś... - zaczął z nadzieją.

- Nie - przerwała mu krótko.

Spojrzał na nią, nie wierząc własnym uszom. Dlaczego ona odrzuca coś, na czym jej zależy?

- Nie - powtórzyła. - Gdybym pragnęła jedynie być dla niej matką, pewnie bym się zgodziła. Ale ja chcę czegoś więcej. Wiem, że w twoim słowniku nie ma pojęcia „na zawsze” i że za żadne skarby nie chcesz się wiązać. Jak przypuszczam, myślisz, że na przeszkodzie temu stoi twoje dzieciństwo, które odebrało ci wiarę w siebie. Dawne przeżycia sprawiły, że nie umiesz siebie docenić.

Ona czyta w moich myślach, przyznał w duchu.

- Jeśli kiedyś zdecyduję się z kimś zamieszkać, to tylko z jednego jedyne powodu. Nie tylko ja będę musiała kochać tego człowieka, ale i on będzie mnie kochał równie mocno.

Joe zrozumiał jej racje. Od urodzenia otaczała ją miłość, napatrzyła się na nią we wszystkich jej odmianach. I nie utraciła w nią wiary nawet po smutnych przeżyciach z Arthurem.

Lecz jeśli Maggie liczy na to, że skłoni go do wyznania, co do niej czuje, będzie musiała poczekać. Bo prawdę mówiąc, sam jeszcze nie był pewien swoich uczuć. Chociaż w całym życiu nie spędził tyle czasu z

żadną kobietą, bał się zapeszyć, więc nie chciał nazywać swych emocji po imieniu.

- Jeśli zmienisz zdanie, dasz mi znać?

- Naturalnie - zapewniła go, ale wiedział, że pozostanie przy swojej decyzji. - Wiesz co? Jest jedna rzecz, na którą się zgodzę - dodała.

- Co takiego? - spytał z nadzieją w głosie.

- Możesz mi zaproponować randkę.

- Naprawdę? Masz ochotę pójść ze mną na randkę? We dwoje? - Zważywszy na to, że ona nie tylko zna na wylot jego dom, ale nawet spała w jego łóżku, ich relacja wyraźnie się cofa do jakiegoś wcześniejszego stadium.

- Tak, Joe. Na tym właśnie polegają randki. Dwoje ludzi, para gdzieś razem idzie. Ale nie do pracy Chcą się lepiej poznać bez udziału dzieci i osób trzecich.

- Jasna sprawa - powiedział z entuzjazmem, od razu myśląc o konkretach. - Piątek wieczór? Wpół do siódmej? Co ty na to? Znajdę kogoś do Breanny.

- Zgoda. To mi odpowiada.

Przez kilka następnych dni Maggie nie przestawała myśleć, jak wiele zdołali osiągnąć tego wieczoru. Breanna codziennie kładła się spać, tuląc do siebie jedwabną koszulę. Skończyły się płacze, a Joe coraz lepiej odnajdywał się w roli ojca. Nabierał swobody w stosunku do małej, gdy była niegrzeczna, nauczył się z nią przekomarzać, głaskał ją z czułością i laskotał. Najwyraźniej zakochiwał się w córeczce Dee. Maggie miała nadzieję, że Joe zdąży do reszty stracić dla Breanny głowę, zanim przyjdzie list z wynikami badania DNA.

Ale najbardziej cieszyła się z tego, że postawiła na swoim w sprawie przeprowadzki, a Joe pogodził się z jej punktem widzenia. Dobrze, że umiała odrzucić jego propozycję i że nie poddała się szantażowi, gdy wspomniał o Nancy.

Chociaż trochę się wtedy łudziła, że wyzna jej miłość, w głębi duszy w to nie wierzyła. Przypuszczała bowiem, że Joe dobrze nie wie, co to znaczy kochać. Ale postanowiła go tego nauczyć. Czy jest na to lepszy początek niż randka?

A jeśli te powody do zadowolenia były niewystarczające, to w pracy też układało się im coraz lepiej. W sytuacjach, które wymagały pewnej dyplomacji albo kobiecej delikatności, Joe bez sprzeciwu zdawał się na nią. Gdy w podejściu do pacjenta potrzebna była stanowczość, on przejmował stery. Byli jak dobry i zły policjant, a ten podział ról świetnie się sprawdzał w działaniu.

Czasami jednak Maggie nie umiała odczytać do końca jego intencji. Ale próbowała wtedy po prostu mu ufać, wierzyć, że postępuje słusznie. Właśnie teraz miała miejsce jedna z trudnych sytuacji.

- Czemu musiałem tak długo na was czekać? -  
Czterdziestosześcioletni Lamar Sandler przywitał ich w progu z wyrzutem. - Wezwałem was pół godziny temu. Przecież macie przyjeżdżać w pięć minut.

- Bardzo nam przykro, ale nie dało się szybciej - odpowiedziała Maggie uprzejmie, choć musiała trzymać nerwy na wodzy.

Ten dyżur był wyjątkowo ciężki. Zaczęło się od wypadku samochodowego, potem był pożar mieszkania, kobieta w średnim wieku skarżąca się na bóle w klatce piersiowej, staruszek z urazem biodra, a potem zajęcia z pierwszej pomocy dla harcerzy. Zbliżała się dziesiąta wieczór, a oni od samego rana nie mieli chwili wytchnienia. Dobrze, że Joe zrozumiał w lot, że w przypadku pana Sandlera, który uskarżał się

na ból pleców, powinien przejąć pałeczkę, bo cierpliwość Maggie była na wyczerpaniu.

- Proszę mi powiedzieć, czy ma pan wrażenie... - zaczął łagodnie, ale Sandler mu przerwał:

- Nie mam żadnego wrażenia. Ja umieram z bólu.

- Sto piętnaście na siedemdziesiąt pięć. – Maggie tymczasem zmierzyła mu ciśnienie.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało. - Joe skinął jej głową.

- Nic się nie stało. Odezwał mi się kamień nerkowy.

- Czy zgłosił się pan z tym do lekarza pierwszego kontaktu?

- Jeszcze tu nie mam swojego lekarza. Właśnie się przeprowadziłem. Chciałem jechać do szpitala, ale tak mnie boli, że nie jestem w stanie prowadzić. Ledwie zdołałem się ubrać.

Maggie rzuciła okiem na jego strój. Elegancki od, stóp do głów, od drogich mokasynów poczynając, na koszulce polo kończąc.

- Kiedy zaczęło pana boleć?

- Rano. Początkowo nie tak strasznie, ale teraz już nie mogę wytrzymać. Musicie coś zrobić.

- Gdyby w skali od jednego do dziesięciu miał pan określić...

- Dziesięć! - Sandler nie pozwolił mu skończyć.

Maggie chciała powiedzieć, że tak silny ból towarzyszy otwartym złamaniom albo poparzeniom trzeciego stopnia obejmującym połowę ciała, ale ugryzła się w język.

- Czy po raz pierwszy ma pan atak kamieni nerkowych?

- Przecież mówiłem, że nie. Na kamice nerkową cierpię od dawna. Wykazała to scyntygrafia. Przeszedłem wszystko, od ureteroskopii po litotrypsję.

- Widzę, że doskonale zna pan swoją chorobę. To jest dla nas niezmiernie pomocne.

- Człowiek sam musi zadbać o siebie. Ileż to ja się naczytałem o błędach lekarskich. Wiem, że przy takim ataku działa tylko hydrokodon. Więc na co czekacie? Długo będziecie mnie tak trzymać?

Maggie zerknęła na Joego, który z niezmiennym wyrazem twarzy powiedział:

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby panu pomóc.

Maggie chciała zaprotestować, choć w tym przypadku decyzja należała do jej partnera. Ale czy Joe nie widzi, że to wszystko jest podejrzane? Napastliwość, brak stałego lekarza, prośba o silny lek narkotyczny. Sandler wyglądał na uzależnionego.

Z drugiej strony, jeśli mu odmówią, dokumentacja tego przypadku zostanie dokładnie zbadana, a im mogą grozić zarzuty nieudzielenia pomocy.

Mimo wszystko lepsza jest jednak nadmierna ostrożność niż błąd, powiedziała sobie w duchu, sięgając po strzykawkę, by podać Sandlerowi najmniejszą dawkę morfiny, ale kątem oka dostrzegła, że Joe daje jej dłonią delikatny znak, by się powstrzymała. Chwała Bogu, coś zauważył.

- Długo jeszcze mam się tak męczyć? - Sandler nie ustępował.

- Bardzo mi przykro, ale najsilniejszy środek przeciwbólowy, jaki wolno nam podać, to acetaminophen.

- To nie wchodzi w rachubę. Na acetaminophen jestem uczulony.

A więc jeszcze jeden znak, że ten człowiek chce ich naciągnąć na narkotyk, pomyślała Maggie.

- W takim razie musi się pan niestety udać do szpitala - powiedział Joe z udawaną troską.

- Co takiego? Pomoże mi tylko hydrokodon. Musicie go podać.

- Przykro mi, ale nam nie wolno - powtórzył.

- To dzwońcie do szpitala. Na pewno dostaniecie zgodę.

- Szpital wie, że nie dysponujemy dawką skuteczną przy tak silnych dolegliwościach. To, co mamy przy sobie, może najwyżej podziałać na ból oceniany na osiem stopni.

- Może odrobinę przesadziłem, zresztą teraz boli, mnie trochę mniej. Ale za chwilę na pewno się nasili.

- Skoro ból się zmniejsza, a potem nasila, to jest bardzo niepokojące - powiedział Joe ze współczuciem. - Więc tym bardziej musi pana obejrzeć lekarz. Dopóki pana nie zbada, nie wolno nam podawać niczego, co by mogło zafałszować obraz sytuacji.

Maggie siłą opanowała uśmiech. Nie przypuszczała, że Joe jest tak świetnym aktorem!

- Jeśli nie zadzwonicie do szpitala, wytoczę wam sprawę. - Sandler spurpurowiał z wściekłości.

- Proszę się nie denerwować, w pięć minut zawieziemy pana na ratunkowy - wyjaśniła Maggie z udawaną troską. - To naprawdę konieczne, bo pana objawy są bardzo niepokojące.

- Bzdura! Nie spotkało mnie jeszcze coś takiego. Dzwonię do adwokata. I powiadomię prasę. Nie chciałbym być w waszej skórze. Telewizja tylko czeka...



- Da pan radę samemu usiąść na wózku, czy mamy panu pomóc? - Joe przerwał tę tyradę.

- Dam sobie radę - odparł, widząc, że ratownik nie daje za wygraną. Mimo rzekomo tak straszliwego bólu, na który się skarżał, szybko usadowił się na wózku, ale gdy Maggie pochyliła się nad nim, by ułożyć mu nogi, chwycił ją za kołnierz: - Pożałujesz tego - wykrztusił z wściekłością.

Nie zdążyła nawet otworzyć ust, bo Joe w mgnieniu oka złapał go za rękę.

- Proszę ją puścić, bo wezwiemy policję i pojedzie pan do szpitala w kajdankach.

W karetce, gdy umieścili go z tyłu, spytał z niepokojem wciąż jeszcze lekko roztrzęsioną Maggie:

- Nic ci nie zrobił?

- Jasne, że nie.

- Już tam się nim zajmą.

Gdy po dziesięciu minutach znaleźli się w szpitalu, Sandler nie był już taki buńczuczny. Joe dyskretnie przedstawił sprawę lekarzowi dyżurnemu.

- Chory jest agresywny, domaga się hydrokodonu, mówi, że jest uczulony na inne środki.

- Wygląda na to, że teraz zrobił się spokojny jak trusia - odparł lekarz.

- Ale był agresywny.

- Zaraz go zbadam, jeśli to atak kamicy, łatwo to stwierdzimy. Jeśli nie - dodał z krzywym uśmiechem - mamy dziś studentów na praktykach. Poproszę, żeby zrobili mu cystoskopię - dodał na odchodnym.

- Na pewno nic ci nie jest? - Joe zwrócił się do Maggie.
- Przez chwilę trochę się bałam. Ale bardziej przestraszyłam się na początku, bo wydawało mi się, że dasz mu się nabrać.
- Myślisz, że można mnie tak łatwo oszukać?
- Nie, ale słuchałeś go z takim przejęciem... - Za- milkła, bo zorientowała się, że sama dała się oszukać. Już tyle razy oglądała Joego w działaniu, więc powinna wyczuć, że jej partner gra.
- On od początku zachowywał się podejrzanie, ale nie można wykluczyć, że naprawdę miał atak. Podpuszczałem go, bo chciałem go na czymś przyłapać. Ale szkoda o tym gadać, już po wszystkim. Lepiej chodźmy na kawę.
- Chyba powinniśmy...
- Ja stawiam.
- W takim razie zgoda - uśmiechnęła się wesoło. W bufecie grało radio. „W tym tygodniu urodziny obchodzą...” dobiegło z głośnika.
- Joe - rzekła Maggie z namysłem - kiedy się urodziła Breanna?
- Dwudziestego ósmego kwietnia, o ile się nie mylę. Czemu pytasz?
- To wypada w przyszły weekend!
- No tak. I co z tego wynika?
- Jak to co? Ona w następną sobotę kończy rok. Musimy to uczcić.
- Uczcić?
- Koniecznie. Wyprawimy jej urodziny.
- Nie przyszłoby mi to do głowy - odparł zaskoczony. - Ale ona jest za mała, żeby to zrozumieć.
- Dzieciom zawsze wyprawia się urodziny. Inaczej nie można.

Joe najwyraźniej jeszcze tego nie wie. Za wszelką cenę musi też poznać jego datę urodzenia. Nawet jeśli trzeba to będzie siłą wydusić z kapitana.

- Chyba nie takim małym dzieciom. Niech Breanna trochę podrośnie.

- Dee na pewno nie przespałaby tej okazji. Nic mnie nie przekona. Trzeba to uczcić.

- No dobrze. Skoro tak uważasz, kupimy tort.

- I prezenty.

- Dobrze, dobrze.

- I zaprosimy gości.

- Jakich gości? - spytał zdumiony. - Przecież poza nami ona nikogo nie zna.

- Zapomniałaś o Nancy i Annie. Ale zaprosimy też moich braci z dziećmi i chłopaków z rodzinami.

- Naprawdę chcesz jej wyprawić takie przyjęcie?

- Oczywiście. Najlepiej u moich rodziców. Mają duży dom z ogrodem. Dzieciaki będą się mogły pobawić na huśtawkach i w piaskownicy.

- Maggie...

- Bądź spokojny, Joe. Przeżyjesz, to nie takie straszne. Trzeba tylko wymyślić jakiś motyw przewodni.

- Jaki znów motyw przewodni? O czym ty mówisz?

- No wiesz, może być Śpiąca Królewna i krasnoludki albo Kubuś Puchatek i zwierzęta ze Stumilowego Lasu. Albo...

- Czyś ty zwariowała?

- Ani trochę. O rany, nigdy nie byłeś na urodzinach?

- Nie przypominam sobie.

Zrozumiała, że strzeliła straszną gafę. Na myśl, że nawet w dzieciństwie Joe nie obchodził urodzin, łązy niemal stanęły jej w oczach. Ale opanowała wzruszenie, bo wiedziała, że on nie chce współczucia.

- No cóż - uśmiechnęła się pogodnie - jeśli mamy zdążyć na sobotę, czeka cię trochę pracy.

- Omówimy to na jutrzejszej randce.

- Masz rację, to może poczekać do jutra.

W holu na dole zatrzymał ich lekarz dyżurny.

- Dobrze, że was widzę. Nie będę musiał dzwonić. Ten człowiek, którego przywieźliście, nie zgodził się na badania. Chyba was to nie dziwi?

- Niech zgadnę. - Joe uśmiechnął się w odpowiedzi. - Oświadczył, że przeszedł je dwa dni temu, a wyniki są u jego lekarza.

- Mniej więcej. O swojej urografii rozwodził się tak szczegółowo, że to robiło wrażenie. Gdybyście mnie nie ostrzegli, pewnie bym się nabrał.

- Jeśli idzie o nerki, niezły z niego specjalista.

-Prawdopodobnie albo rzeczywiście miał kiedyś kamice nerkową, albo cierpi na to ktoś w jego otoczeniu. Powiedziałem mu, że zanim mu wypiszę receptę, najpierw go przebadam, bo muszę mieć absolutną pewność, co mu dolega. Takie są przepisy.

- I co dalej? - dopytywała się Maggie.

- Jak zwykle przy takim bólu skierowałem go na tomografię jamy brzusznej. Gdyby niczego nie wykazała, wyjaśniłem mu, trzeba będzie zrobić kolonoskopię.

- I co on na to?

- Po prostu zwiął. - Lekarz uśmiechnął się szeroko. - Pielęgniarka zostawiła go na chwilę samego, a gdy wróciła, nie było po nim śladu.

- Ale numer! - Joe zakrztusił się ze śmiechu.

- Pewnie będzie gdzie indziej próbował wyłudzić leki, ale dzięki wam u nas nie udało mu się ta sztuczka.

Po wyjściu ze szpitala Joe, najwyraźniej w przypiływie świetnego humoru, złapał Maggie wpół i zaczął z nią tańczyć. Z chichotem oparła mu dłonie na ramionach.

- Przestań, Joe. Jeszcze nas ktoś zobaczy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zresztą na parkingu nie ma żywej duszy. Posłuchaj, ja wiem, to nie jest takie ważne, ale cieszę się, że ten facet dostał po nosie. Zrobiliśmy dobry uczynek.

- Naprawdę masz powody do zadowolenia.

- A ty na początku we mnie zwątpiłaś.

- To prawda. Przyznaję.

- No to masz nauczkę. Twój partner zawsze ma rację, więc nigdy się z nim nie spieraj.

- Chyba że się myli.

- No dobra, ale tylko wtedy. Widzisz, dla mnie ten dzień nie mógłby się lepiej skończyć.

Jeśli Maggie zastanawiała się wcześniej, co jest dla Joego najważniejsze w życiu, teraz nie miała już wątpliwości. Podobnie jak

ona, Joe chce pomagać i czuć się potrzebny. Dla niego ratownictwo jest nie tylko zawodem, lecz powołaniem. Chce pomagać ludziom, czy to będzie deliryk, ofiara wypadku, czy też lekoman na głodzie, od którego trzeba uratować innych.

I właśnie dlatego tak się opiera przed stałymi związkami. Po prostu nie jest przekonany, że ktoś naprawdę może go potrzebować, że komuś będzie w stanie wypełnić pustkę.

- Mógłby, mógłby - zaczęła się z nim przekomarzać. - Chyba byłoby lepiej wynieść na własnych rękach niemowlę z płonącego wieżowca. Albo w ostatniej chwili uratować topielca.

- To byłoby zbyt spektakularne. - Spojrzał jej poważnie w oczy, a ona poczuła dreszcz. - Ale właściwie jest jedna rzecz, która mogłaby jeszcze lepiej zakończyć ten wieczór.

- Za dwie minuty będzie północ, więc nie masz zbyt wiele czasu.

- Do diabła, niepotrzebnie wpadliśmy na kawę.

- Chyba nie chcesz się kochać w karetce?

- To niegłupi pomysł.

- Tyle tylko, że musimy wracać na posterunek.

- No to nie ma wyboru. Trzeba się zdecydować na plan B.

- A co to za plan? - Instynktownie rozchyliła usta.

Bez słowa chwycił ją w ramiona i pocałował.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Przez resztę dyżuru Joe zastanawiał się, gdzie by tu zaprosić Maggie na pierwszą randkę. Nie brakuje miłych restauracji, ale co zrobią z resztą wieczoru? W kinach grają głównie horrory, a poza tym chce ją mieć tylko dla siebie i nie odprowadzać zbyt wcześnie do domu.

Tak się złożyło, że nazajutrz rano Maggie zaproponowała jego ulubione miejsce: Lefty's Bar and Grill, gdzie telewizor z wielkim ekranem zawsze jest na- stawiony na kanał sportowy, podają ogromne i soczyste steki i najlepsze na świecie frytki smażone w niezdrowym, ale za to pysznym tłuszczu.

Po smakowitej kolacji przeszli do omówienia urodzin Breanny. Joe postanowił, że nie będzie się wtrącać tylko do tortu, ale w innych sprawach nie zamierzał ustępować.

- Naprawdę upierasz się przy tym, żebyśmy nie zapraszali tylu gości?

- Breanna nie lubi tłumów, zresztą więcej osób się u mnie nie pomieści.

- Pamiętaj, że aktualna jest propozycja, żeby przyjęcie wyprawić u moich rodziców. Wszyscy bardzo chcą poznać Breannę.

- Rozumiem, ale nic na to nie poradzimy.

Maggie ma rację, koledzy są bardzo ciekawi małej. Już dawno nie miał tylu zaproszeń na lunch albo na piwo. Ale nie dawał się skusić. Zanim będzie zabierał Breannę do znajomych, dziecko musi się najpierw przyzwyczaić do nowego domu.

- Zresztą nie wiem, czemu oni tak chcą ją zobaczyć.

- Nie domyślasz się? Nikt się nie spodziewał, że nagle zostaniesz tatusiem, więc chcą cię zobaczyć w tej roli.

W roli tatusia, a więc o to idzie. Choć może radzi sobie z małą coraz lepiej, a ona coraz częściej się śmieje, jako ojciec musi się jeszcze wiele nauczyć. Poza tym trudno przewidzieć, jak to się skończy, więc tym bardziej nie chciał robić wokół siebie zbyt wiele szumu.

Ale trzeba przyznać, że wszystko potoczyło się lepiej, niż mogłby przypuszczać. Punkt zwrotny nastąpił z chwilą, gdy Maggie odmówiła przeprowadzki do niego. Szczerze mówiąc, nie umiał wtedy pojąć dlaczego. Ale jeśli w jego własnym domu rzeczywiście teraz rodzi się miłość, rozumie, o co jej chodzi i na czym jej zależy. Przychodzą takie chwile, że on także chce dać szansę uczuciu, zwłaszcza jeśli jest ono źródłem szczęścia i satysfakcji.

- Nie ma rady, będą musieli trochę poczekać. Ale skoro obgadaliśmy sprawę urodzin, może miałabyś ochotę pograć w bilard?

- O której godzinie masz zwolnić opiekunkę?

- O dziesiątej.

- Czyli mamy trochę czasu. Uwielbiam bilard, ale ostrzegam, żebyś po mnie nie spodziewał się zbyt wiele.

Prawie podskoczył z radości, że ich wspólny wieczór jeszcze się nie kończy.

- Nic się nie martw. Przecież nie będziemy grać na pieniądze... Kto zaczyna? - spytał po chwili w salce bilardowej, gdzie w szafie grającej ktoś nastawił muzykę country.

- Ty - odparła z uśmiechem. - Nie lubię być pierwsza.



Bardzo szybko wbił wszystkie kule do dziury, podczas gdy ona zdołała to zrobić tylko z jedną.

- Mówiłam ci, że jestem w tym kiepska.
- Po prostu nie masz wprawy.
- Potrzebuję wprawy i wskazówek.

Joe cierpliwie uczył ją, jak trzymać kij i jak ustawia się kule.

- Pamiętaj, nie wolno się spieszyć - powiedział na koniec. - Teraz twoja kolej.

Przyrzekł sobie, że skupi się na grze, ale nie mógł oderwać wzroku od Maggie - od jej długich nóg w obcisłych dżinsach, od kręconych włosów do ramion, czerwonej aksamitnej bluzki z długim rękawem i zarysowującego się apetycznie biustu.

- Teraz było trochę lepiej? - Maggie wyprostowała się z kijem w dłoni.

- Dużo lepiej - odparł szybko, chcąc ukryć zmieszanie.
- Powiedz prawdę, czy upaśćkałam się sosem? - Przekrzywiła głowę.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Bo tak mi się przypatrujesz.
- Przepraszam. Nie mogę się napatrzeć, jak pięknie wyglądasz.

- Dziękuję. - Lekko się zarumieniła. - Kto teraz? Może ty, a ja przyjrę się jeszcze raz, jak to robisz.

Mowy nie ma. Wpadł na lepszy, choć nieco ryzykowny pomysł. Ale świat należy do odważnych. Gdy on będzie się szykować do uderzenia, pochyli się i poprowadzi ją za rękę. Musi tylko panować nad sobą.

- Mam pomysł. Pomogę ci.

Czuł pod sobą każdy centymetr jej cudownego ciała, lekki miodowy zapach, muśnięcia włosów na policzku.

- Odrobinę w lewo, o tak - powiedział. Chciałby ją stąd wynieść na rękach i gdzieś się z nią zaszyć. Marzył o zupełnie innych igraszkach niż bilard. Wziął głęboki oddech.

- Teraz patrz na kulę. - Poprowadził jej rękę. Dość tego, to się staje niebezpieczne, pomyślał, odrywając się od niej na chwilę. Mógłby tak trwać godzinami. Na stole pozostało jeszcze kilka kul, a więc do dzieła.

Gdy żółto-biała kula znikła w dziurze, Maggie zawołała radośnie:

- Udało się! Przybij piątkę. Możemy zagrać jeszcze jedna partię?

- Jasne. - Miał wrażenie, że temperatura w salce podniosła się o dobrych kilka stopni. - Ale może zrobimy najpierw krótką przerwę. Napiłabyś się herbaty? A może masz ochotę na coś mocniejszego?

- Poproszę colę.

W tym momencie jak na zawołanie zjawiała się Gabby, trzydziestoletnia kelnerka, która obsługiwała tutaj Joego nie po raz pierwszy. Ale okazało się, że to ona ma prośbę.

- Strasznie mi przykro, że cię niepokoję - zwróciła, się do niego zaaferowana - ale wydaje mi się, że jeden z gości nie wygląda najlepiej.

- Co się stało?

- Zbladł jak ściana, masuje sobie mostek. Jego żona chciała wezwać karetkę, ale on mówi, że to niestrawność. Jednak na moje oko to może być coś poważniejszego. W każdym razie powiedziałam im, że akurat mamy pod ręką ratownika i że poproszę, żebyś go obejrzał. Nie chciał, ale żona w końcu go przekonała. Wiem, że nie jesteś na służbie, ale bardzo cię proszę, zobacz, co się z nim dzieje.

- Pozwolisz mi? - Joe zerknął na Maggie.

- Oczywiście. Może też się na coś przydam.

Już w drzwiach do sali restauracyjnej dostrzegli, że siedzący przy stoliku pod ścianą mężczyzna w średnim wieku położył sobie obydwie dłonie na klatce piersiowej. Nie zdążyli do niego podejść, gdy nagle osunął się na podłogę.

- Cholera! - Joe zaklął pod nosem, po czym podbiegł do leżącego. - Wezwij pogotowie - zwrócił się do kelnerki, kucając nad mężczyzną. Rozpiął mu górne guziki koszuli i przyłożył palce do arterii szyjnej.

- Czy to serce? - dopytywała się żona. – Prosiłam go, żebyśmy zostali w domu. Ale Vernon nigdy mnie nie słucha.

- Czy mąż choruje na serce? - spytała Maggie.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie czuję tętna - szepnął Joe. - Spróbuj przywrócić mu oddech.

Maggie rozpoczęła sztuczne oddychanie, Joe masaż serca, gdy z oddali dobiegł dźwięk syreny. Po chwili wbiegli ratownicy z trzeciego posterunku straży pożarnej.

- Macie defibrylator? - zapytał Joe.

- Oczywiście. - Aaron McElroy pospiesznie otworzył torbę.

Maggie cofnęła się kilka kroków, nie spuszczając oczu z Joego. Gdy Aaron przywrócił choremu regularną akcję serca, jego partner podłączył go do kroplówki, a Joe założył mu maskę tlenową. Maggie pomogła im ułożyć pacjenta na noszach, po czym ratownicy ruszyli z nim biegiem do karetki.

- Czy podrzucić panią do szpitala? - Joe zwrócił się do żony Veronona.

- Przyjechaliśmy tu samochodem, ale boję się, że nie dam rady prowadzić.

- Chętnie panią zawiozę, dla mnie to żaden problem. - Joe zerknął na Maggie, która skinęła mu głową.

- Naprawdę? - zapytała kobieta z wdzięcznością. -Ale jak pan stamtąd wróci bez auta?

- Pojadę za wami naszym samochodem - uspokoiła ją Maggie.

- Nie chciałabym państwu sprawiać takiego kłopotu.

- Żaden kłopot. Naprawdę.

W szpitalu zaprowadzili żonę Vernona do izby przyjęć. Gdy wezwany przez recepcjonistkę lekarz dyżurny informował ją o stanie chorego, wyszli dyskretnie.

- Ty to potrafisz zabawić dziewczynę na randce - uśmiechnęła się Maggie.

- No jasne. Nigdy dość atrakcji.

- Ale następnym razem może nie będziemy odbierali kolegom chleba.

- Czyli już nie możesz się doczekać następnej randki? - zażartował, ale w jego głosie wyczuła cień niepewności.

- To wprost niebywale, że człowiek, który w sytuacjach kryzysowych potrafi działać bez najmniejszego wahania, tak nie ma wiary w siebie w życiu prywatnym.

- Pewnie, że tak. Dlaczego pytasz?

- Tak po prostu. Chciałem się upewnić.

- Wyświadczyłeś tej pani ogromną przysługę.

- Każdy by to zrobił na moim miejscu. – Wzruszył ramionami, wyprowadzając samochód z parkingu.

- Nie bądź taki skromny. Wielu ludziom nie przyszłoby to do głowy. A zwłaszcza facetom na randce z tak fantastyczną laską jak ja.

- Masz rację - uśmiechnął się rozbawiony. - Musimy powtórzyć spotkanie, bo to nie skończyło się najlepiej.

- Przecież Vernona udało się odratować.

- Miejmy nadzieję. Ale tak czy inaczej, na randkach nie mam zwyczaju zahaczać o szpital. Więc trzeba to będzie naprawić.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedziała.

W wirze przygotowań do urodzin następne dni upłynęły Maggie bardzo szybko. Ponieważ Joe postanowił, że przyjęcie będzie niewielkie, poszło jej łatwiej, niż przypuszczała, choć nawet wybór tortu okazał się czasochłonny. Z prezentami było jeszcze trudniej.

Próbowała nie rozpamiętywać, jak dwukrotnie szykowała urodziny dla synków Arthura, którzy później, nie licząc kilku rozmów telefonicznych, bezpowrotnie znikli z jej życia. Czasem jednak nie umiała odpędzić złych myśli, że także tym razem tak to się może skończyć. Ale patrząc na pogodną buzię Breanny, przywoływała się do porządku.

- Może w czymś wam pomóc? - Joe zajrzał do kuchni, gdzie razem z Tristą szykowały lekki poczęstunek dla gości.

- Dzięki, nie trzeba - odpowiedziała z uśmiechem. - Za kwadrans wszystko będzie gotowe.

- Dopiero? Umrę z głodu. - Joe chwycił kawałek sera i krakersa.

- Uważaj, bo stracisz apetyt.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. - Wyciągnął rękę po następny kawałek, ale Maggie postukała go plastikową łyżeczką.

- Poczekaj. Trochę cierpliwości.
- Zapisalaś się do policji? Nie ma mowy. To jest mój dom i ja tutaj rządę.
- Może dam ci parę krakersów, ale musisz mi najpierw zdradzić, jaki masz prezent dla Breanny.
- To ma być niespodzianka.
- Ja ci pokazałam, co jej kupiłam.
- I bardzo dobrze. Ale prezent ode mnie zobaczysz później, razem z Breanną.
- Nie to nie. Idź sobie, nic nie dostaniesz. Zanim zdołała go powstrzymać, porwał kawałek sera i mrugając porozumiewawczo, zniknął za drzwiami.
- Kupił ten prezent bez ciebie? - zapytała Trista.
- Tak, a potem od razu go zapakował. Umieram z ciekawości, co tam jest w tym wielkim pudle.
- Może się obawia, że go skrytykujesz, a może chce ci zrobić niespodziankę.
- Tak czy siak, niedługo się dowiemy.
- Jak wam się układa z Breanną? - Trista doprawiała sałatkę z kurzydzy.
- Od kiedy mała zaczęła zasypiać ze swoim jedwabnym skarbem, nie płacze. - Maggie zmniejszyła ogień pod rondlem z duszonym kurczakiem. - Joe też coraz lepiej odnajduje się w roli ojca. Już tak nie drży nad nią na każdym kroku. Wczoraj na czworaka chodził po salonie, udając konia, a mała siedziała mu na ramionach i krzyczała z radości. Na koniec stanął dęba i zrzucił ją na kanapę. On też bawił się świetnie. Między nimi jest coraz lepiej.

- A tobie jak idzie z Breanną?

- Fantastycznie. Przyzwyczała się do mnie i czuje się pewnie. Ale jak czegoś chce, a ja nie zdążę jej tego dać, od razu leci do Joego.

- Wiedziałam, że ona szybko się pozna na tobie. Dzieci cię uwielbiają. Ale powiedz mi lepiej, co ty czujesz wobec niej?

To samo pytanie zadała jej matka, kiedy rozmawiały dziś przez telefon. Powiedziała jej to samo co Triście:

- Kocham ją jak własne dziecko. To cię chyba nie dziwi?

- Och, Maggie...

- Wiem, wiem. Nie powinnam się, tak angażować, ale znasz mnie nie od dzisiaj. Chociaż zdaję sobie sprawę z ryzyka. Kiedy zgodziłam się pomóc Joemu, próbowałam zachować dystans, ale mi nie wyszło. Po tym wszystkim, co przeszła, ona złamała mi serce.

- A Joe też ci złamie serce?  
Być może. Kto wie?

- Nie, nie złamie. - Pochyliła się nad rondlem, mając nadzieję, że Trista nie zauważy jej rumieńca.

- Zakochałaś się w nim?

Zamierzała zaprzeczyć, lecz była pewna, że przyjaciółka i tak jej nie uwierzy. Obydwie wiedziały, że to nieprawda. Jednak z drugiej strony, nie chciała się wprost przyznać do swego uczucia.

- Porządny z niego facet - odparła wymijająco.

- Porządny facet - powtórzyła Trista. - Czyli go lubisz?

- Zasługuje na to. Jest dobry i wrażliwy, choć czasem apodyktyczny albo nadopiekuńczy. Ale ma dobre intencje i robi wszystko, żeby zaspokoić potrzeby Breanny.

- Przecież skarżyłaś się kiedyś, że strasznie dyryguje innymi.
- Ale przyszły krasnoludki i utarły mu nosa.
- To ładnie z ich strony. Jednak mówiąc poważnie, ta sielanka może się skończyć. I co wtedy?

- Nawet mi tego nie mów. Mam nadzieję i modłę się o to, że niezależnie od wyników tych cholernych badań on zrozumie, że nie wolno mu rezygnować z dziecka. Ani ze mnie. - Nie chciała myśleć o bólu i rozpacz po tym, jak Arthur spakował chłopców, by wyruszyć do Montany, a jej zostały tylko ich zdjęcia, wspomnienia i praca, która pozwoliła jej przetrwać.

- Bardzo ci tego życzę.

W drzwiach stanął Joe z Breanną na barana.

- Okej, Pszczółko, sama powiedz Maggie, czego ci trzeba.
- Pszczółka? - Trista uniosła brwi.
- Świetnie do niej pasuje, bo ona uwija się pracowicie od rana do nocy.

Breanna zabrała się do systematycznej eksploracji swego nowego domu jak rasowy badacz. Zajrzała do każdej szafki, otworzyła wszystkie szuflady, wyciągała ubrania, garnki i sztucce. Najbardziej jej się podobały ręczniki kąpielowe, które z upodobaniem rozkładała na podłodze. Joe próbował zamykać na klucz drzwi do łazienki, ale Breanna stanowczo się temu sprzeciwiła, więc dali za wygraną. Usunęli wszystko, co mogło być niebezpieczne, i pozwolili buszować po całym domu.

- Pszczółka mówi, że jest głodna. - Joe przybrał grobową minę.

Maggie pocałowała małą w policzek.

- Dobrze, kochanie. Zaraz coś zjemy.



Razem z Tristą nakryły do stołu w kuchni. Gdy Maggie wniosła tort, jej wszystkie trudy wynagrodziło radosne zdumienie w oczach solenizantki, która nie mogła oderwać wzroku od lukrowych figurek z „Kubusia Puchatka” i palącej się świeczki.

Joe wziął Breannę na kolana, a bratanica i bratanek Maggie próbowali nauczyć solenizantkę, jak się zdmuchuje świeczkę. Po wielu próbach wreszcie jej się udało, ale gdy usłyszała oklaski, zawstydzona odwróciła główkę i przytuliła buzię do piersi Joego.

Ciekawość okazała się jednak silniejsza, bo już po chwili zaczęła nieśmiało się rozglądać w oczekiwaniu na następne atrakcje.

Po torcie i lodach wszyscy przeszli do salonu, gdzie na małą czekała góra prezentów w różnokolorowych pudłach i pudełkach. Gdy Joe usiadł z nią na podłodze, dziewczynka zafascynowana tą piramidą wyciągnęła do niego rączki, krzycząc na cały głos:

- Tata!

Maggie nie wiedziała, kto był bardziej zaskoczony, ona czy Joe. Sądząc po jego minie, nie dowierzał własnym uszom. Gdy po chwili otrząsnął się ze zdumienia zmieszanego z przestraczem, uściskał Breannę i pocałował ją w bródkę. Zrobił to całkowicie naturalnie, niemal odruchowo, śmiało i bez wahania.

I w tej właśnie chwili Maggie się w nim zakochała. Zanosilo się na to od pewnego czasu, ale dopiero teraz przyznała się przed sobą, że kocha tego człowieka, który dla dobra dziecka potrafi przezwyciężyć własne lęki. Nie będzie się już zastanawiać, czy naraża się na ryzyko.

-Pozwólcie, że zobaczę, co my tutaj mamy. – Joe sięgnął po pierwszy prezent, ale nie zdążył go rozpakować, bo malutkie paluszki zręcznie zdarły papier z pudełka. Chwilę później solenizantka straciła zainteresowanie podarunkami i zajęła się wyłącznie opakowaniami.

Nie patrząc na przytulanki, lalki, zwierzątka do kąpieli, pracowicie układała stos szeleszczących kolorowych papierów. Dopiero gdy z największego pudła Joe wyjął plastikowy serwis do herbaty, talerzyki do ciasta, garnuszki i patelenki, Breanna przerwała pracę i zachwycona zaczęła ustawiać naczynia.

- Trafieś w dziesiątkę. Sam to dla niej wybrałeś? - Maggie nie mogła wyjść ze zdumienia.

- Spędziliśmy z Pszczółką pół dnia w sklepie z zabawkami. W końcu zdecydowałem się na ten komplet, bo wydało mi się, że jej się spodoba.

- Ale czemu nic mi nie chciałeś powiedzieć?

- A nie zarzuciłabyś mi, że wzmacniam stereotypy dotyczące kobiet i zapędzam ją do kuchni?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ty pokonałaś wszelkie bariery i pracujesz wyłącznie wśród mężczyzn - powiedział niepewnie. - Chyba miałem powody do obaw?

- Jeśli będziesz jej kupował także samochody i samoloty, nie ma problemu. - Wspięła się na palce i nie zważając na gości, pocałowała w policzek. - Spisałeś się na medal.

- Dziękuję. - Próbował ukryć zmieszanie.

- Widzę, że z czystym sumieniem możemy was zostawić. - Brat Maggie podniósł się uśmiechem. - Wyjrzałem na dwór, zbiera się na ulewę. Jeśli wierzyć prognozom, będzie burza, więc chciałbym z dziećmi zdążyć do domu, zanim się rozpada na dobre.

Gdy w chwilę później Maggie i Joe zegnali na ganku wychodzących gości, spadły pierwsze krople deszczu.

- Może też lepiej wróć do siebie przed burzą.

- Nie zostawię cię z tym bałaganem. – Potrząsnęła głową.

Joe włączył spokojną nastrojową muzykę, której lubił słuchać wieczorami, po czym zabrał się do porządków w salonie, a Maggie zajęła się sprzątaniami kuchni.

Gdy skończyli, przyszła pora, by położyć Breannę spać. Po kąpieli dziewczynka jak zwykle wysłuchała dwóch bajek, została wyściskana i wycalowana, po czym poszła do łóżeczka z króliczkiem, nową lalką i zieloną koszulą mamy.

- Dobranoc, Pszczółko - powiedział Joe, gasząc światło, ale Breanna powtórzyła sennie:

- Tata, tata.

Jak porażony zatrzymał się w pół kroku i dopiero Maggie wyciągnęła go do przedpokoju, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi.

- Widzisz, teraz masz potwierdzenie.

- Jakie potwierdzenie? - Usiadł na kanapie w salonie.

- Ona mówi, że jesteś jej tatą.

- Rzeczywiście tak powiedziała. - Uśmiechnął się lekko. - Kiedy to wymówiła po raz pierwszy, myślałem, że po prostu naśladuje twoją siostrzenicę.

- Ale teraz widzisz, że to nie przypadek. – Maggie niemal od samego początku przy dziewczynce nazywała Joego „tata”. Uczyła ją tego słowa, ale także i jego chciała do niego przyzwyczaić. - Ona świetnie rozumie, co to znaczy „tata”.

Maggie spojrzała na Joego, który uśmiechnął się z zakłopotaniem, po czym usiadła przy nim z nogą podwiniętą w kolanie.

- To jest, rzecz jasna, zabawne, ale szczerze mówiąc, sądziłam, że będziesz bardziej poruszony. Kiedy dziecko po raz pierwszy mówi „tata”, ojcowie zazwyczaj nie posiadają się ze szczęścia i dumy.

- Czy jestem poruszony? Na swój sposób, na pewno. Ale przede wszystkim umieram ze strachu. – Potarł skronie i przymknął oczy. - Czuję, że Breanna dokonała wyboru. Potwierdziła, że jestem jej ojcem.

On też dowiedział już tego na różne sposoby, ale chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie będzie mu tego wyjaśniać w tej chwili.

- Czy wyobrażasz sobie, jaka to odpowiedzialność? - spytał zalekniony.

- Oczywiście, że tak. Przecież to ćwiczymy to od paru tygodni.

- Wiem, ale kiedy nazwała mnie tatą, wszystko ujrzałem inaczej. Nie sądziłem, że się znajdę w takiej sytuacji. I nigdy nie chciałem się w niej znaleźć.

- Ale stało się to, co się stało. I muszę ci powiedzieć, że świetnie sobie radzisz.

- Nie jesteś obiektywna.

- Zapewniam cię, że mówię prawdę. Nie zaprzeczysz, że dokonałeś ogromnych postępów. Po pierwsze, otworzyłeś przed dzieckiem swój dom, po drugie, poprosiłeś o pomoc. Zwróciłeś się do mnie o wsparcie, choć mogłeś tego nie robić. Wyprawiłeś jej wspaniałe urodziny i dałeś fantastyczny prezent, bo wiedziałeś, co jej się spodoba. Czy powiesz mi, że ten Joe Donatelli, który teraz siedzi przede mną, jest tym samym człowiekiem, jakim był przed miesiącem?

Joe spoglądał na nią z niedowierzaniem.

- Rzecz w tym, że nauczyłeś się elastyczności. - Maggie uniosła dłonie. - Pozwoliłeś, by w twoim świecie znalazło się miejsce dla innych.

- Być może, ale nie dokonałbym tego bez twojego udziału.
- Nie przesadzaj. Zbyt wiele mi przypisujesz.
- Wiem, co mówię - nie ustępowałam.
- W porządku, nie będę się z tobą sprzeczać - odparła z uśmiechem.
- Tym bardziej, że mam na to zbyt dobry humor, choć jestem trochę zmęczona.

- Wcale się nie dziwię, musisz być wykończona. Przygotowałam fantastyczne przyjęcie. Breanna nie wie, ile ma szczęścia.

- Przyznasz, że było warto. Za rok... - Ugryzła się w język. Nie ma co planować, trzeba żyć dniem dzisiejszym.

- Co będzie za rok?

- Zaprosimy więcej gości. Może ona też pozna jakichś rówieśników. Przebierzemy ją za księżniczkę. Mam świetny pomysł, można by...

Przysunął się bliżej i położył jej palec na ustach.

- Cicho, za dużo gadasz.

- To chyba ze zmęczenia. - Skłamała i była tego świadoma, bo ledwie jej dotknął, zmęczenie ustąpiło.

- Pamiętasz, że nam się należy randka?

- Ale nie dzisiaj. Nie mamy nikogo do opieki nad małą.

- Nie musimy wychodzić. Chcę ci tylko powiedzieć, że ostatnim razem chciałem z tobą zatańczyć, ale nic z tego nie wyszło. Teraz możemy to naprawić.

- Czuję przyływ energii.

- Czy odpowiada ci ta muzyka?

- Jak najbardziej. - Wstała, a on chwycił ją w ramiona.

Kołysali się wolno przez dłuższą chwilę.

- Doskonale sobie radzisz - szepnęła.

- A teraz? - Obrócił ją błyskawicznie.

- Super! - Niemal straciła dech. Przytuliła mu głowę do ramienia, a on położył sobie jej dłoń na piersi. Romantyczna muzyka, cichy szum deszczu, dziecko śpiące w pokoju obok. I tylko oni dwoje. Przytulił ją mocniej.

- Mamy tę noc tylko dla siebie.

Z taką pasją i pożądaniem jeszcze jej nie całował. Zapomniała o wszystkim, o nadziejach, marzeniach i lękach. Po chwili leżała na dywanie.

A potem, na ranem, gdy kochali się jeszcze raz w jego łóżku, zrozumiała całą prawdę. Należą do siebie, stanowią jedność, uzupełniają się wzajemnie jak nikt na świecie. Bo ona go kocha.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Przez kilka dni po urodzinach Breanny Joe miał wrażenie, że śni. Od chwili, kiedy dziewczynka powiedziała „tata”, przestała zamykać buzię. „Tata, to”, „tata daj”, „tata nie” - w tym rozgadany dziecku trudno było rozpoznać zamknięte w sobie, wystraszone maleństwo sprzed kilku tygodni.

Joego z jednej strony rozpierała duma, z drugiej słowo „tata” napawało go lękiem. A jeśli zawiedzie dziewczynkę? Jeśli jako ojciec sprawi jej ból?

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym częściej myślał o własnym dzieciństwie. Zanim trafił do rodzin zastępczych, ojciec na całe dni zostawiał go samego w domu albo podrzucał znajomym. Jak to w ogóle było możliwe, że nie czuł przy tym lęku o dziecko i odchodził, nawet się z nim nie żegnając?

Ale Maggie często powtarzała, że synowie nie muszą powtarzać błędów rodziców i że trzeba przezwyciężyć ponure wspomnienia z dzieciństwa.

W ciągu tych kilku dni Joe przestał wreszcie żyć tylko bieżącą chwilą. Zaczął myśleć o przyszłości. Pojęcie „na zawsze” przestało go nagle przerażać. Zmienił także swój stosunek do miłości. Pod wpływem Maggie i dzięki Breannie zaczynał wierzyć, że on także potrafi kochać.

Uśmiechnął się do dziewczynki, która chwyciła go za nogawkę spodni, po czym ją wziął na barana.

- Chodźmy sprawdzić, Pszczółko, czy już przyszła poczta.

Przykucnął przy skrzynce, żeby Breanna mogła wyjąć listy. Pierwsze pięć wyciągnęła bez problemu, z szóstym, w dużej białej kopercie, miała kłopot.

- Chcesz, żebym ci pomógł?

- Nie! - Potrząsnęła główką.

Mocowała się przez dłuższą chwilę, a gdy wreszcie jej się udało, roześmiała się triumfująco. Joe spojrzał na kopertę i serce zabiło mu mocniej.

Dla osób postronnych litery PBG niewiele mówiły, ale on nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten skrót oznacza Pracownię Badań Genetycznych.

Machinalnie zamknął za sobą drzwi wejściowe, po czym postawił małą na podłodze. Oto ma w ręku wyrok, który przesądzi o jego życiu.

- Tata. - Breanna wyciągnęła rączki. Wiadomo, o co jej chodzi - podał jej list z reklamą nowo otwartej restauracji, a gdy zadowolona zajęła się „swoją pocztą”, usiadł w fotelu z kopertą na kolanach.

Ten list zdecyduje o jego życiu, powtórzył w duchu. Ale gdy właśnie wszystko zaczęło się układać, czy gotów jest to zburzyć? Dla tego dziecka on i Maggie stali się całym światem. Ona pokochała je jak własne i jego także kocha. Jedno krótkie zdanie może przekreślić ich szczęście. Wcześniej chciał poznać prawdę, ale teraz już tego nie pragnie.

Pokochał Breannę całym sercem, lecz jeśli się okaże, że ona nie jest jego biologiczną córką, co ma zrobić z tym faktem? Nie można wykluczyć, że któregoś dnia do jego domu zawita jej biologiczny ojciec.

Utrata małej oznaczać będzie także zerwanie z Maggie. Nie jest nawet w stanie o tym myśleć.



Słyszając, że jej samochód wjeżdża do garażu, szybko schował kopertę pod stertą gazet. Tak długo czekał, by poznać prawdę, że może się z tym powstrzymać jeszcze parę dni.

Maggie zorientowała się szybko, że coś go trapi. Kiedy się bawił z Breanną, na jego twarzy pojawiała się troska. Także gdy się kochali, wyczuwała w nim jakąś rozpacz.

Martwi się tym przekłętym badaniem, doszła do wniosku. Jego wynik powinien już nadejść, więc lada moment skończy się wreszcie męczące poczucie niepewności. Mogłaby go poprosić, by skontaktował się z laboratorium i upewnił się, czy list jest w drodze. Ale tego nie zrobi. Po co wywoływać wilka z lasu?

- Joe, czy wszystko jest w porządku? - spytała go nazajutrz, gdy jechali do pracy.

- Czemu pytasz?

Skoro nie zaprzeczył, to znaczy, że w istocie czymś się martwi.

- Jesteś nieobecny duchem, jakbyś był gdzieś bardzo daleko.

- Zastanawiam się...

- Nad czym? - nie pozwoliła mu skończyć.

- Mój dom jest bardzo nieduży. Chyba to zauważyłaś.

- Powiedziałabym, że jest przytulny – odparła zaskoczona.

- Tak czy inaczej, żona się w nim nie pomieści. Bo nie wiem, czy wiesz, że szukam żony - dorzucił.

Dobrze, że dopisuje mu humor, pomyślała z ulgą.

- Tylko nie zapomnij jej zapowiedzieć, że musi polubić mycie okien, gotowanie i pracę w ogrodzie.

- Bądź spokojna, nie wezmę byle kogo.

Wciąż jednak wyczuwała w nim niepokój. Ale teraz nie będzie tego drażnić, zrobi to po dyżurze.

Ledwie zaczęli pracę, doszło do poważnego wypadku. Na zakręcie wypadł z drogi autobus szkolny. W jednym z kół pękła opona; kierowca nie zapanował nad pojazdem i wylądował na żywopłocie otaczającym pusty parking przed kościołem.

Katastrofa wydarzyła się niedaleko ich posterunku, więc na miejsce dotarli jako pierwsi. Sprawa wyglądała bardzo poważnie.

- Ile osób jest w środku według dyspozytora? - spytał Joe.

- Trzydzieści pięć, w tym kierowca. Zaraz zjadą się ratownicy z całego rejonu. - Przy tyłu ofiarach ogłoszono stan katastrofy i wezwano posiłki z innych posterunków.

Gdy wybiegli z karetki, usłyszeli krzyk dzieci.

- Będziemy ich przenosić na trawnik przed kościołem - zdecydował Joe.

Gdy strażacy rozcinali zablokowane wyjścia awaryjne, oni dostali się do środka przednimi drzwiami.

Kierowca, który osunął się z siedzenia, miał twarz zalaną krwią.

- Ty się nim zajmij, ja zobaczę, co z dziećmi - zdecydował Joe, po czym ruszył na tył autobusu i przekrzykując wrzawę, zawołał: - Uwaga, dzieci, proszę o ciszę. Zostańcie na miejscach. Siedźcie spokojnie, wydostaniemy was stąd bardzo szybko. Czy ktoś jest ranny?

- Kevin ma chyba złamaną nogę - zawołał jeden z chłopców. - A Meghan jest zakrwawiona i nie odpowiada na pytania.

- Jak ci na imię? - spytał Joe.

- Greg.

- Chwila cierpliwości, Greg. Zaraz się nimi zajmiemy.

Po chwili strażacy wyważyli łomem zamknięte drzwi.

- Uwaga! Kto może wstać o własnych siłach? - Większość dzieci uniosła ręce. - Bardzo proszę, wychodźcie spokojnie i po kolei. Najpierw ci, którzy siedzą z tyłu. Ranni niech pozostaną na miejscach.

Dzieci, jedno po drugim, przedostawały się do drzwi, skąd Joe kolejno je wynosił i przekazywał ratownikom, którzy w międzyczasie przyjechali. Gdy ostatnie z nich opuściło autobus, wskoczył do środka.

Mniej więcej dziesięcioletni chłopiec przykucnął w przejściu i trzymał rączkę małej, może pięcioletniej dziewczynki, która zaklinowała się między siedzeniami i najwyraźniej miała trudności z oddychaniem. Na siedzeniu po drugiej stronie przejścia wpołu leżał inny dziesięciolatek. Grymas bólu wykrzywił mu buzię, dziecko oburącz obejmowało się za kolano.

- Tam leży Kevin, a to jest jego siostra, Meghan - powiedział przykucnięty chłopiec.

- Dzięki za wszystko, Greg. Poznałem cię po głosie. Bądź o nich spokojny i przejdź do wyjścia. Tam odbiorą cię ratownicy. Kevin - zwrócił się do rannego chłopca - wiem, że cię bardzo boli, ale wytrzymaj jeszcze chwilę. Najpierw musimy się zająć twoją siostrzyczką.

Pochylił się nad dziewczynką. Krótki oddech, przyspieszone tętno, spadek ciśnienia – prawdopodobnie odma opłucnowa. Poza tym obrażenia głowy z podejrzeniem wstrząsu mózgu i najwyraźniej złamana kość promieniowa. Mała jest w szoku, więc w pierwszej kolejności trzeba jej przywrócić normalny oddech.

Nadbiegła Maggie.

- Odma? - spytała z niepokojem.

- Ja się zajmę ciśnieniem, ty podłącz kroplówkę.

Gdy po kilku chwilach zdołali udrożnić drogi oddechowe dziewczynki, uznali, że jej stan jest na tyle stabilny, by ją przewieźć do szpitala. Z unieruchomioną rączką ułożyli ją na noszach i biegiem przenieśli do karetki. W tym czasie inni ratownicy zajęli się Kevinem.

- Ja chcę do mamy... i taty - wyszeptała dziewczynka w drodze do szpitala.

- Nie martw się, za chwilę zobaczysz rodziców. Już do ciebie jadą. - W karetce Joe przez cały czas trzymał ją za rączkę. Wiadomość, że dziecko jest ranne, musi być czymś strasznym dla rodziców. Nie chciałby znaleźć się w ich skórze. - Bardzo dzielna z ciebie dziewczynka, zaraz będzie mama.

- Boli mnie.

- Za chwilę lekarze zrobią, że cię przestanie boleć. Oni wszystko umieją naprawić. Widzisz, jak szybko dojechaliśmy do szpitala. Poczekałam przy tobie, aż przyjdą rodzice.

Pół godziny później spotkał w holu Maggie.

- Jak się czuje ta dziewczynka? - spytała z troską.

- Wszystko będzie dobrze. Są przy niej rodzice.

- Świetnie się spisałeś.

- Też coś! - Wzruszył ramionami. - Pamiętasz, jak mnie spytałaś, czy zdarzyło mi się ratować kogoś, kto przypominał jakąś bliską osobę?

- O ile sobie przypominam, powiedziałaś, że nie.

- Dziś muszę to odszczekać. Patrząc na Meghan, miałem przed oczyma Breannę.

- Nigdy nie zapomnę, jak na szkoleniu jeden z instruktorów powiedział nam, że każdy pacjent jest czyimś rodzicem albo dzieckiem, żoną, mężem, siostrą czy bratem, więc powinniśmy traktować go tak, jak byśmy chcieli, żeby potraktowano naszych najbliższych.

Przez całe lata nie miał rodziny, ale teraz, gdy to się zmieniło, co by zrobił, gdyby na miejscu Meghan znalazła się Breanna? Czy umiałby sobie poradzić z rozpaczą i przerażeniem? Widział zapłakaną matkę rannej dziewczynki i jej wstrząśniętego ojca, gdy patrzyli na córeczkę podłączoną do kroplówek i monitorów.

Dawniej z obawy przed cierpieniem i bólem uciekał przed życiem. Teraz, gdy ma Breannę i Maggie, przestał się bać.

- Muszę coś załatwić - rzekł z uśmiechem po dyżurze. - Czy mogłabyś zająć się Breanną do mojego powrotu? Chciałbym ci zrobić niespodziankę.

- Mam nadzieję, że to coś miłego.

- Do zobaczenia. Jak wrócę, wszystko ci wyjaśnię.

Maggie ucałowała Breannę na powitanie, po czym zwolniła Nancy. Nastawiła pralkę i zaczęła bawić się z małą lalkami.

Dopiero gdy rozległ się dzwonek do drzwi, spostrzegła, że od jej powrotu do domu minęło parę godzin. W progu stał mężczyzna w eleganckim garniturze.

- Szukam pana Josepha Donatellogo. Czy dobrze trafiłem?

- Tak, ale nie ma go w domu. Proszę zostawić swój telefon, to po powrocie zadzwoni do pana.

- Wolałbym poczekać, jeśli pani nie będzie miała nic przeciwko temu.

Chciała zaprotestować, ale w tym momencie usłyszała parkujący na podjeździe samochód Joego.

- Proszę bardzo. - Spojrzała na niego badawczo. - A z kim mam przyjemność?

- Silvestri. Carter Silvestri.

Gdy po chwili Joe wszedł do salonu, gość wstał i uściskawszy mu dłoń, powiedział:

- Niełatwo było pana odnaleźć.

- Może ma pan ochotę na kawę?

- Proszę sobie nie robić kłopotu, to nie potrwa długo.

- W czym rzecz? - Joe usiadł na kanapie.

- O ile rozumiem - Carter przełknął ślinę - jest pan opiekunem prawnym córki Dee Delacourt.

- Owszem.

- Przyjaźniłem się z Dee. Przez pewien czas byliśmy sobie bardzo bliscy.

Maggie w lot zrozumiała, że ma przed sobą człowieka, o którym wspominała Anna. Eleganckiego mężczyznę, którego ślad próbowali odnaleźć.

- No cóż - Carter odchrząknął - przypuszczam, że Breanna jest moją córką.

O nie! - krzyknęła w duchu. Tylko nie to!

- Doprawdy? - rzekł z zainteresowaniem Joe. Carter Silvestri wygląda na człowieka sukcesu, który będzie umiał zadbać o swoje dziecko, myślała gorączkowo Maggie. Ale poczuła do

niego instynktowną antypatię. Jest zbyt ugrzeczniony, zbyt gładki, jego szeroki uśmiech nie wydaje się szczery.

- Kiedy dowiedziałem się o postanowieniu Dee, ogarnęła mnie rozpacz.

- Wcale się nie dziwię - odparł Joe ze współczuciem. -Niepokój o Breannę na pewno spędzał panu sen z powiek.

- Joe zdaje się nie widział pana na pogrzebie - wtrąciła Maggie.

- Nie było mnie wtedy w mieście. O śmierci Dee dowiedziałem się później, gdy wróciłem z podróży. Bardzo niepokoiłem się o Breannę i zrobiłem wszystko, żeby ją odnaleźć. Ale z tego, co widzę, mała nie mogła lepiej trafić.

Maggie chciała mu przerwać, ale Joe posłał jej dyskretne spojrzenie, żeby się powstrzymała. Zagryzła więc zęby i z całej siły zacisnęła dłoń.

- Po tym wszystkim, co przeszła Breanna, trochę boję się ją narażać na kolejne zmiany.

- To nie będzie dla niej łatwe. - Joe ze zrozumieniem pokiwał głową. - Zdażyła się do nas przyzwyczaić.

- Wyłącznie ze względu na jej dobro mam więc pewien pomysł. Choć bardzo ją kocham, nie będę stawiał przeszkód, żeby została u państwa. Na pewno dojdziemy do porozumienia.

Coś podobnego! Maggie zatrzęsa się z bezsilnej wściekłości. Za rzeczenie się praw do dziecka on domaga się pieniędzy!

- Jaka suma usatysfakcjonowałaby pana? – Joemu nawet nie drgnęła powieka.

- Zważywszy na koszty związane z procedurą prawną, myślę o dwudziestu tysiącach dolarów.

- No cóż, to mi się wydaje nieco wygórowaną kwotą. Jako ratownik medyczny nie jestem krezusem.

- Gotów jestem negocjować.

- Tak sędzę, ale ja nie zamierzam. Widzi pan, nie oddam mojej córeczki nikomu, zwłaszcza człowiekowi, który chciałby na niej ubić interes. Niech pan spróbuje zaskarżyć testament Dee, ale dziecka pan nie dostanie.

- Przecież to moja córka!

- Tak się składa, że zrobiłem badania genetyczne.

- Pan blefuje.

- Proszę bardzo. - Wyciągnął kopertę spod sterty gazet. - I co pan na to? Radzę panu stąd zjeżdżać, bo nie ręczę za siebie.

- Proszę się nie unosić, po prostu musiałem się pomylić - rzucił mężczyzna w drzwiach. - Niech się pan nie trudzi, zamknę za panem.

- Maggie stała jak wryta, ale w chwilę później rozplakała się z napięcia.

- Już po wszystkim, pogoniłem drania. - Joe przytulił ją mocno.

- Wiesz, jak długo czekałam, żebyś ją nazwał swoją córeczką? Byłam przekonana, że blefujesz i myślałam, że umrę ze strachu. Czemu mi nic nie mówiłeś? - Wskazała kopertę.

- Maggie, popatrz na ten list.

Wzięła go drżącymi rękami. Dopiero po sekundzie zobaczyła, że koperta jest wciąż zamknięta.

- Nie otworzyłeś tego? Nie rozumiem...

- Sprawa jest prosta. Nie potrzebuję dowodów naukowych, że ona jest moim dzieckiem. Zbierałem się, żeby to przeczytać, ale po wypadku



autobusowym, gdy zobaczyłem rodziców rannej dziewczynki, zrozumiałem, że kocham Breannę tak samo, jak oni kochają swoją córeczkę. I niezależnie od wyniku tego badania za nic w świecie nikomu jej nie oddam.

- A jeśli Silvestri będzie ją chciał odzyskać? Jeśli to on jest jej ojcem?

- Jeżeli nawet, to z pewnością na nią nie zasługuje. Jemu nie zależało na dziecku, ale na pieniądzech. A gdyby jednak zdecydował się walczyć o Breannę, zeznamy zgodnie z prawdą, więc zważywszy na to oraz na testament Dee, nie widzę dla niego szans na wygraną.

- Joe, otworzysz ten list?

- To zależy od ciebie. - Sięgnął do kieszeni koszuli. - Przepraszam, że mi to zajęło tyle czasu – otworzył małe pudełeczko - ale chciałem kupić coś, co ci się spodoba. Czy zostaniesz moją żoną?

Z walącym sercem spojrzała na pierścionek z brylantem.

- Czy prosisz mnie o rękę, bo...

- Bo cię kocham. Oprócz Breanny niewiele mam do zaoferowania...

- Nie waż się tak mówić - przerwała mu z pasją. - Masz do zaoferowania siebie. Breanna jest darem od losu, dodatkową nagrodą.

- Naprawdę? - spytał z niedowierzaniem.

- Zostanę twoją żoną dlatego, że cię kocham. Ale musimy coś zrobić z tym listem. Chociaż z drugiej strony, dla mnie też ten wynik nie ma znaczenia.

- Nie musimy niczego robić. - Wyjął jej kopertę z dłoni i odłożył na półkę. - Nie zdążyłem ci powiedzieć, że dostałem urlop wychowawczy. Jeśli chcesz, przedłużymy go o miesiąc miodowy.

- Zanim zdążył ją pocałować, uświadomiła sobie, ile cała ich trójka ma szczęścia. Zrządzeniem losu stali się rodziną. I kto powiada, że w życiu nie zdarzają się cuda?

TLR